

Zofia Sienkiewicz

Nauczycielka i bibliotekarka. Ur. w 19[] r. we
Lwowie. Zawód ojca: mechanik []. Ukończyła
Uniwersytet [] /mgr bibliotekoznawstwa/. Od
1945 do 1961 r. przebywała w [] i o tym okre-
sie pisze głównie w swoim pamiętniku. Ostatnio za-
mieszkała we []. Panna. Członek ZSL.
Nr ewid. pam. 669.

Nauczycielka i bibliotekarka

I

PRZYCZYNY DEWIECI WYJAZDU DO []

Pamiętam rok 1945-ty. Koniec wojny, oczekiwania radości z odzyskanej wolności. Osobiste i rodzinne troski jakoś chwilowo ustają wobec wszechogarniającego spokoju i myśli, że można już być normalnie, a raczej, że można je planować i organizować bez ciągłego, trwałego pytania, co jutro przyniesie nowego, starszego ???

Najprzeróżniejsze wiadomości krążyły się i krąży wśród znajomych, czasem jedno drugą zaprzeczają. Ale jedna z nich dominuje potęgą wizji przyszłości. To wiadomość o rozszerzeniu granic kraju na zachód i północ, to powrót Ziemi Piastowskich do Macierzy, to ogromny zryw całego narodu do objęcia tych pustych, zmieszanych połam wojenną teraźniejszością, to wreszcie spontaniczna sprawa społeczeństwa do zaludnienia ich i zagospodarowania.

Przed każdym indywidualnym Polakiem rysuje się ogromna możliwość zorganizowania własnego, własnego życia na nowo, od podstat,

w szlacheńskich warunkach, jako niepełnych, szczególnie tych, którzy nie nie mają, bo tylko pracą własnych rąk i obłąków mogą zarobić na utrzymanie swoje i rodziny.

Do tej liczby ludzi zaliczas się i ja.

Właściwie nie okazywałem się z jednej i niepowtarzalnej szansy? Takie i tym podobne myśli nurtują mnie od chwili bezwzględnej kapitulacji Niemiec w dniu 9 maja 1945 roku.

Jestem nauczycielem na skromnej placówce w 7-klasowej szkole powszechnej pod [REDAKTOWANE]. Ale przecież mimo barier nie sprząających możliwości, kontynuowałem prywatnie osiem lat nauki z zakresu mykologii, przygotowując się jako ekstern do egzaminu państwowego, uprawniającego do uzyskania w szkołach średnich.

Cel nie został osiągnięty, bo warunki życia i pracy stawiły przede mną trudności wprost nie do przebycia. A ogólnie panując w Polsce międzywojennej bezrobocie szukało baczenie strzec się przed utratą raz zajętego stanowiska w społeczeństwie.

Wielkie nadzieje miałem na tożsamość na lipiec wicem 1939 roku, a już w październiku tegoż roku pogrzebałem całkowicie myśl o dokonaniu studiów.

Wojna i długotrwała okupacja gruntownie zmieniły moje plany życiowe. Śmierć ojca, opieka nad chorującą staruszką matką i nieletnią siostrą sprawiła, że tym bardziej nie mogłem poważnie myśleć o realizacji własnych zainteresowaniach intelektualnych i artystycznych.

Teraz stoję przed możliwością tej realizacji! Otrzymuję bowiem list z [REDAKTOWANE] od znajomych pp. [REDAKTOWANE], którzy jako Polacy wysiedleni byli brutalnie z Poznania i Gniezna do tzw. Generalnej Guberni i po zakończeniu działań wojennych na naszych terenach, wrócili do swoich rodzinnych stron.

Z listu wynika, że perspektywa osiedlenia się w portowym mieście jest tak trąająca, iż warto ponieść trudy pierwszych

tygodni czy nawet nieciężcy pobytu w szpitalach, ale już polskim
[REDAKTOR]

Równocześnie znajduje się w liście konkretna propozycja przy-
jazdu do [REDAKTOR] i pomocy w urzeczywienieniu się tam wraz z pozostałą
najbliższą rodziną.

Krótką debatę z matką i siostrą na temat - jechać czy nie
jechać ??? Czasy są jeszcze niespokojne, ogólna wypróżka ludzi z
miejsca na miejsce, daleka droga, właściwie w nieznane! Co tam nas
czeka? Jaki los? List zachęca, nawet barako - starosa nieufność
i roznoga matki hamuje zapal i kade zastanowił się nad wszystkimi
argumentami "tak" i "nie" Przeważają argumenty "tak". Decydują się
na wyjazd.

PODRÓŻ DO WILKOWOŁASKO WILKOWOŁASKO

Akcja osiedlenia Niemców Zachodnich i Północnych przeprowadzona
była we wszystkich miastach i miasteczkach województw centralnych.
To też o kartę repatriacyjną w [REDAKTOR] było bardzo trudno. Zwią-
zane z tym wszystkie formalności zakończono mi w ciągu kilku godzin
a zwolnienie z pracy w szkole w Wilkowie [REDAKTOR] pod [REDAKTOR] /dziś
[REDAKTOR] / otrzymaną po zakończeniu roku szkolnego.

Pamiętam ostatnie dni słonecznego i gorącego czerwca, kiedy
wybierałam się sama w daleką podróż, a znajomi i nieznajomi odru-
dzali mi na wszelkie możliwe sposoby ten wyjazd. Trudno było tym
ludziom, osiadłym z dawien dawna, zrozumieć wielką i historyczną
wagę jak najszybszego salubniejszego odzyskania Niemców przez ludzi
różnych zawodów, w których odzierała i szkolnictwo odgrywało niebagat-
elną rolę.

Dopiero na dworcu w [REDAKTOR] zdałam sobie sprawę z tego, w
jakich warunkach przyjdzie mi jechać na drugi koniec polski.

Kilkanacie wagonów towarowych - przeważnie otwartych łoz, wypełnionych drobnicą lub węglem, "oblepianych" dosłownie ludźmi z tobołkami, koszykami i walizkami - stało na torze. Upłynęło wiele czasu zanim dojechano parowóz, który z gwizdem i sykaniem par zaczął w stronę Krukowa. Na trasie nabrał rozbiły, ale później coraz częściej przystawał albo był przetaczany na boczne tory, aby przepędzić liczne transporty wojskowe, które albo wracały z Berlina, Lipska czy Dresna albo dowoziły różne materiały potrzebne stacjonującym tam jednostkom w radzieckiej strefie okupacyjnej.

Dziś już wiele wróciło z tej podróży satarko się w pamięci, ale wspominała to chwilę jako przeżycie ciekawe, barwne choć bardzo męczące, bo trwające okrągło tydzień czasu. Utkwiły mi w pamięci obrazy mijanych okolic coraz bardziej wyludnionych i zniszczonych w miarę, jak zbliżaliśmy się do celu podróży.

Nie dalszego - mówiłaś sobie - są to zniszczenia na skutek działań wojennych. Niszczenie to jakos' smutne i ciężkie mi było na duszy, gdy pomyślałaś, co mnie tam czeka? Jak przyjdzie być w takim opustoszałym, w gruzach będącym mieście? Bo różnych wersji nasłuchiwałaś się od współtowarzyszy podróży o Szczecinie. Okazywało się bowiem, że niektórzy już kilka razy odbyli tę "rajską"!

Wiadomo! Naród Polski przyzwyczaił się podczas okupacji do handlowania czym się dało, jak się dało i gdzie się dało!

Właśnie na myśli okazało się to społeczeństwo, która "nie siejąc, nie orząc" chce tylko zbierać. I ci właśnie tworzyli ten najgorszy margines życia polskiego na ziemiach odzyskanych. To ci co z ładunkiem spirytusu i tytoniu jechali na Pomorze [redacted], a - jak się później w [redacted] przekonalaś na własne oczy - wracali obciążeni dywanami perskimi, porcelaną i starym srebrem. Traktowali oni te ziemie jak "polską Kanadę". To też nie dalszego, że straszyli tych, którzy jechali do [redacted], by pracować, a nie scabrować. Szła za nimi propaganda grozy, niepewności i lęku.

Ale byłam jeszcze na to dość młoda, aby dać się zastraszyć. Odwrotnie, jakiś upór wewnętrzny wznosił i kasał mi tym przygodnym snajperem, tym "poszukiwaczem szkodliwych pól" odpowiedź szkodliwie i przekornie. A już wprost zamierzałam się z ich bredni, gdy wyjawiali swoją kilkakrotną podróż do [REDAKTOR] - tam i z powrotem. Przecież ich kwitnący wygląd, bysze karki i krwiste policzki zadawały kłam skamienionym i bladoleniom. Skoro tak niebezpiecznie było to złaczonej ciał są żywi i cali i jedzą po kilka razy? Właśnie tak ile nie jest, jak to w zabarwionych strachem powiadaniach się przedstawia!

Tak to wdrując dniami i nocą szalałam się pewnego dnia na dużej stacji, zatłoczonej wojakami różnych formacji i ludnością cywilną. Wzrosło prawie całe w gruszech. Dalej jakis ocalał kawałek muru z dużym czarnym napisem [REDAKTOR] żyłakom w pierzanej chwili, że to już [REDAKTOR]. Z ciekawości rozglądałam się dookoła po wyjściu na peron celem rozprostowania kości. Była to jednak tylko stacja [REDAKTOR] obecnie [REDAKTOR].

Po dłuższym postoju ruszyliśmy dalej. Pociąg świeżo wiadomości-płotki. Rozszerzają się lotem bryskawicy, nie wiadomo, czy dojeżdżony całe? Mosty na Odrze spalone, jest podobno jeden z nich wojskowy, pontonowy - ale czy to taki most pewny? Może się rozwarł i co wtedy? Pociąg znajdzie się w nurtach rzeki. Podobno już tak się kilka dni temu zdarzyło! Wśród ludzi determinacja - co będzie to będzie, nie opuścimy pociągu.

Obliżamy się do brzegów szarej sztafki wody. Dzielne uczucie mnie ogarnia. Oto rzeka, o której niegdyś czytałam w powieściach historycznych - rzeka "wielek wielu bojów i potyczek drabyn polskich z rycerstwem świętego cesarstwa rzymsko-niemieckiego. Wzruszenie "ciężka za gardło. Jesteśmy tymi, którzy Odrę biorą w posiadanie. Odtąd to już polska rzeka - rzeka pokoju.... To nie, że głód dotuza, że zagrożenie wala z nog. Jak dobrze jechać tam, gdzie przez

wielki cały okruty "Krug nach Osten" dawak si; we znaki spokojnej, rolniczej krasności stowialskiej.

Z uwagi, wpatruj, si; w dół. Pociąg barisko wolno, wolniakto z wjedzia na most. Daini i drty most pontonowy pod stalowya w,tem, ale trzym si; gojais, spokojais i powais.

Z dala ukazaja si; zasary miasta. Pociąg zatrzymak si; w gl,bonis jarze. Z gl,bii cacznych wagonów bydl,oych i z lar węglo- wych poczky wyskakiwak na tar zakite i braino postacie.

Oto [redacted], to ostatnia stacja na przedmieściu [redacted], bo do znieszonego dworca pociągi nie dochodzą. Podobno kady transport bywa ograbiony, podobno grasują morderczy- postach wszystkich ulajajocy si; koleję do [redacted]

Na skargę, wozowi poczky wdrapywak si; coraz liczniejone gru- pki, obladowane bagazem, wychadzaj na polna, lipcowe słońce. Na ho- ryzencie mianila si; osarenkoti panowak [redacted] - cel nojej dnu- giej drogi.

W jednej z tych grupok znalakak si; i ja se okromną swoję walizkocką i podakakak za innymi drogę do miasta, w ktorym miakak znaleci miejsce dla siebie i swoich najbliszycch.

Z ciekawości, rozgladakak si; po rozleglym polu z szeregiem pracupni,tych w gl,bii donków z ogr,dkami, pełnymi kwiatów, chw- atów i jarzyn - donkie opustoszajacych i cionych. Minakak je i we- szakak w jakę uliczkę, a następnie w szeroki trakt ocieniony wyco- kmi drzewami, staję ni si;, do platanami. Była to - jak si; póź- niej dowiedziakak - jedna z głównych ulic miasta, [redacted] /nazwana obecnie [redacted]/. Wytrwale po niej podakakak do mie- szkania moich znajomych, ktorzy wżaisnie przy tej ulicy mieszkali.

Mijakak po drodze sterty gruzów, śmieci, starych polakakanych mebli i innych urzadzeń mieszkalnych, które na wysokoći kilka me- trów tworzyły szerokie wały, zajajacye całą szerokoć środkowego pola arterii. Wzienieglacie z okien powiswaly białoszereone

obozowiskowi - ślady polskiego flaga w tym mieście. Ale daleko widoczniej wisiało z obłoków białych flag na przekór słowom wypisanym na wypalonych domach w zakamienionym Jędrzynie - "ir kapitulieren nie."

Jakieś dziwne uczucie całej radości przesłaniało mi, gdy pomyślałem, że dziejowa sprawiedliwość dojdzie wreszcie tego narodu panów, że ich miasta wyglądają podobnie jak nasze w pierwszych dniach 1950 roku.

Ale nie czas teraz na wspominki. Teraz, na chwilę, spotkam się z przyjaciółmi i dowiem się, jak tu żyje i mieszka ta garstka Polaków, która pierwotnie podjęła trud osiedleńczy i zaczęła budować nowe życie od zera.

WILKOWY WILKOWY [REDAKTION]

Spalasz się w kąpieli, kilkusetletnia mieszkanie na którymś tam piętrze. Po pierwszych okrzykach radości ze spotkania i przywitaniach więcej nie serdecznych, ułożono mi wygodnie na sterku poduszki i miso gorącego łata, przykryto dużą pierzyną. A wszystko to z wielkiej troskliwością, abym grzecznie wypoczął po męczącej podróży. Spałam chyba dość długo, bo obudziłam się dopiero po południu następnego dnia. W pierwszej chwili nie kształtowałam bardzo jasno obrazów sobie sprawy, gdzie jestem i co robię w obcym, nieznanym mi mieszkaniu, ale gdy zobaczyłam nad sobą ukochane twarze rodzeństwa - [REDAKTION] i momentalnie zorientowałam się, że jestem w dalekim [REDAKTION].

I tak zaczęły się kilkadziesiąt rozmowy o wszystkim. Nie miałam wiele do opowiedzenia, bo u nas w Krakowie nie specjalnie ciekawego, przynajmniej na razie, nie dzieło się. Ale za to, byłam chętna wszelkich wiadomości o [REDAKTION], a szczególnie o tym, jak to tam było na początku, bo przyjechałam akuratnie w dniu 5 lipca tj. w dniu ostatecznego przekazania miasta władzom polskim. A oto

Jak w relacji [REDAKT] wyglądają pierwsze dni pobytu Polaków
Syryj - ...". W końcu maja zebrali się wszyscy z naszej rodziny
w Poznaniu. Rozmawialiśmy się, co robić - gdzie pracować? Przesz
Poznań, a głównie ulicą Babrowskiego ciągnie wojsko spod Berlina.
Rus: i czas się do spoczynku. Polski Związek Zachodni zachęca do
wyjazdu na Zachód i po krótkiej rozmowie z bratem ruszamy do [REDAKT]
[REDAKT]. Przyjeżdżaliśmy tam 15 czerwca. Po tym kilku ludzi wychodzi
do [REDAKT] / [REDAKT] / prezydent miasta Zaręba i prowadzi nas pie-
szo przez [REDAKT] / [REDAKT] / do gmachu obecnej Wojewódz-
kiej Rady Narodowej nad morze i tu w piwnicach otrzymujemy zakwatero-
wanie, a stołek, siedliśmy w gmachu PZ-u przy obecnej [REDAKT]
[REDAKT]. Z miejsca byłem oskarżony [REDAKT].

Z dalszych opowiadań rodziców [REDAKT] dowiadujemy się o
losach Polaków w ciągu trzech ostatnich tygodni do uroczystej chwili
11 tj. do 5 lipca.

Podstawowe warunki były rozgardiasz - ludzie wprawdzie reje-
strują się, niby otrzymują przydziały do pracy, ale właściwie woczy-
szyć czekają na ośrodek [REDAKT], w którym jest jeszcze bardzo
dużo sianokos, spora wojenna radiotelegrafia z komendanturą miasta i ta-
mże gazetka rodaków. Np. grupa znajoma otrzymuje przydział do orga-
nizującego się Wydziału Zdrowia, gdyż ma za sobą praktyk, laboran-
tów z czasów służby. Pierwszym naczelnikiem tego Wydziału był
dr. [REDAKT], a cały Wydział mieścił się w jednym pokoju, gdzie
było biurko, apteczka, narzędzia, ale nie było tam nawet gdzie usią-
ść.

Przedpodobnie i w innych wydziałach służby administracji pol-
skiej były takie same skromne warunki bytowania.

Wówczas gromadki osadników polskich spotyka w dniu 19 czer-
wca niepodzielną i Prezydent P. [REDAKT] dostaje nakaz wycofania
się wraz z ludźmi do [REDAKT]. Na pozostał tylko mała ekipa, 7 osób
licząca, w zajmowanym gmachu i czekać na dalszy rozwój wypadków.

W tym momencie znajdują się i moi znajomi, którzy są naszymi p. [redacted]
[redacted] decydują się na to. Jak spędzili ten czas oczekiwania?
Pracują do wspomnień [redacted]. - Cytuję... "Puste są te dni,
nie ma co robić, czasem wychodzimy przed garaż, patrząc na świat.
Niemcy mają wybudowane baraki drewniane i czekają na wyjazd drogą
wodną. Pewnego dnia nie wytrzymujemy z bratem i ruszamy na Odrę.
Pogoda piękna kusi do spacerów. Zwiedzamy trochę, interesuje nas
wszystko; fabryka, kościół, ogródki działkowe, a w nich pomniki,
truskawki, kwiaty, wszędzie kwiaty, nie krywane od wielu dni kwia-
ty, kolorowy dywan o oszalałej czarnej. Z pewnym nasenciem
stwierdzamy, że teren jest laminowany. Stajemy w miejscu i błagamy
brata, aby wrócił, a on nie słuchał nie oco, a mi, że chodzi os-
trzeźwie i nie ma się nie stania, tylko serwie kilka kwiatów, bo sa-
wsze to będzie w pokoju przyjemniej i nie tak pusto. Powoli cofamy
się, bo słońce zaczyna zachodzić i niebezpiecznie wracać późno.
Przez te dni nie mamy nic do jedzenia - trzy razy a dennie zupa z
maki bez soli, bo tej [redacted] nie znajdzie się ani na lekar-
stwo. Mam siostrę, że całość i prezent, który samochodem wysłał dla
nas prezydent [redacted], został zarekwizowany przez wojsko. Dopiero
pośrodku czerwca tj. 23 czy 24 wraca z ludźmi prezydent ninasta
do [redacted] i może jesteśmy wśród swoich."

Opowiadania siostry uzupełnia brat. Dowiadujemy się więc, że
[redacted] ciągle jeszcze nie ma. Zanimienn między własną radnic-
ką a polski był kapitan [redacted], uprzejmy, grzeczny, ale chyba
smutny ciągłym pytaniami Polaków - a co? a jak? a kiedy? Taki
stan trwał do 5 lipca. To jest właśnie do mojego przyjazdu!

A więc zaczęło się trochę gorączkowe, trochę bezbranne opowia-
danie obojga o tym, jak to ostateczne przejęcie Szczecina wygląda-
ło.

Polacy w napięciu oczekiwali już od 8-nej rano, pogoda się
trochę poprawiła, pałak deszczu. Wreszcie o 11-tej wozem wyruszyli

do [redacted] /dziś Siojaka Sada Karolowa przy [redacted] /
i tu kiedy dostał przydział na objęcie poszczególnego stanowiska,
Wydział Kwaterunkowy objął obję znajomy [redacted], a sio-
strą jego [redacted] z jejną z caritarności ušla się do Śródnka
Zdrowia na [redacted]. Tam została sama z byłą już w komplecie
personalem niemieckim, w którym był tylko jeden autochton o raszi-
sku [redacted], jedyne ten mówił po polsku. Charakterystycznym zjawie-
niam była chęć mieszanki - Niemek, by nauczyć się mówić po pol-
sku. W oazon ich widać było tylko uległość, ani śladu budy, jakim
widzieli się u przedstawicieli wyższej rasy w Generalnej Guberni.

Śródnka Zdrowia kieruje w tym czasie dr [redacted], którym
powierzają równocześnie przejęcie szpitala przy obecnej ul. [redacted]
[redacted]. Są tam jednak na rasie chorzy Niemcy, którzy są si; prze-
nieść z lekarzami na uolęcin. I rzeczywiście po kilku dniach opu-
szczają szpital, nie zabierając ze sobą wogóle aparaty i narzę-
dzia tak, że szpital został dosłownie ogłocony. Wice dr [redacted]
jedni kilkakrotnie do Berlina i uzupełnia szpital tym, co może
dostać lub kupić.

Po miesiącu sergenci dwary Wydział Zdrowia przenosi się do
kuchni przy ul. [redacted]. Urządzający tam Polacy cho-
cą do pracy piecota, komunikacji nie ma żadnej, ale jest pełna
pogoda, a z dyscypliną pracy luźno, bo nawet też o 9-toj godz. sa-
czą pracować, więc pracuje się obojętnie. Po dwu tygodniach prac-
ności się do grzechu NKS - to są już na stałe.

Mieszkańcy na rasie u znajomych. Spieram u nich różne "plotki"
o mieście, Polakach, o życiu wśród gruch i ruin. Mimo to wierzę,
że są to przejściowe trudności po których ustabilizują się warunki
bytowania. Nie wiem, czy to od niemieckiego Maktyma, czy od bliż-
szego [redacted] wieje świeży, aromatyczny powiew tak,
że odycha się osobomnie, pełną piercia. Jest w duszy jasno, prze-
stronnie i spokojnie mimo, że całe to słychać się strzelanie; nawet

w biały dzień, a o smutku; nie trudno. Przewidy "Jeszcze" /tylko ze polski/. No cóż, kłajki wyrastają jak grzyby po deszczu - woj- ska dale - jest to przesieć jeszcze okres gorądy, pachnący niedo- nym prochem i krwią.

Do kilku dni od powstania wybieram się na poznanie miasta, choćby tylko jego najbliższej okolicy - Śródmieście. Przeszukuję nie niczym wście, ogromne sterty śmieci, gruzu, gruzu, odpad- ków, w których od czasu do czasu ktoś od czasu czasu, jakby spodzie- wał się znaleźć skarb jakiś. Patrząc na te kilkumetrowe sterty, za- stanawiam się, kiedy i kto uprzątało to rumowisko i przywróci uli- com ich normalny wygląd. Oczywiście oświetlenia nie ma - elektro- wnia seputa - druty i instalacje elektryczne w wielu miejscach zer- wane lub poprzecinane, ale mówi się wśród naszych, że już jakaś grupa elektryków pracuje dzień i noc, aby puścić elektrykę w ruch.

Bląkam się po pustych ulicach, wśród domów wypalonych, w któ- rych tylko wiatr hula, gdzie nigdzie tylko bezpański pies się przemieszcza lub bary kot grasuje po stertach śmieci. Choć tak pusta okolica, zalana światłem słonecznym, nie boję się, niezego i w myślach zapomniałem te ulice gwarzącym tłumem dzieciaków i młodzieży, która tu zapewne wkrótce przybędzie. Widzę czynną duszą ulicę czy- ście, jasną, pełną śmieci, w witrynach tylnie pełno najprawdopodobniej- szych towarów. Choć głód skądś mi coś nieco, widzę jednak pie- karnie pełne chleba i smakowitego pieczywa. Składzenie przybiernie nie może powstać realną. Nawet się już teraz nie doświadczyłem obju- czonymi tobołkami dywności, że spełniają one niewolnicze rolę han- dlu i zaopatrzenia wielkiej jeszcze ludności polskiej, choć sta- le wznoszącej, gdyż codziennie przechodzą długie pociągi z oca- dnikami. I gdy myślę wracam do tamtych dni, sprawdzam we własnych wspomnieniach ogrom zniszczeń wojennych, tak plastycznie przedsta- wionych w artykule publikacyjnym Dr [REDACTED]

██████████ - /Karier ██████████ Nr 73 z dn. 5 kwietnia 1971 r. str. 4-5/. Sytuacja... "██████████" wyniku działań wojennych 60 % zabudowy uległo zniszczeniu. Przemysł metalowy legł w gruzach w 93 %, a przemysł mineralny w 74 %. Poza tym poważnie zostały zniszczone zakłady przemysłu chemicznego i papierniczego... "Nawet przemysł rolno-spożywczy też w 90 % padł ofiarą wojny. Do najbardziej zniszczonych obiektów należał port. Dodajmy do tego, że nie działał ani handel, ani w ogóle cały system zaopatrzenia miasta... nie było prądu, gazu i wody. Komunikacja wewnątrz miasta praktycznie nie istniała, zniszczone były tory, skłapy i siód napowietrzna".

Tyle publicysta. A ja dodam, że tak zniszczony ██████████ tytuł jednak życia - ludzie z jakąś gorącą energią, z zapaleniem się siebie usiłovali jak najprędzej nadać miastu normalny wygląd. Nikt wtedy nie mobilizował do czynów społecznych, nikt nikogo nie wyręczał dyplomaci ani wykuzłani nagradzali przemysł, robili się wszystko jakieś samo ze siebie, spontanicznie.

██████████ podobał mi się barwno, jego gwałtowny układ ulic zbiegających się w licznych placach, jego śliczna, przepiękna roślinność i piękne domki i wille w zniszczonych partiach miasta.

Po tych długich paruniowych wydróśkach postanowiłam sobie mocno, że tu zostanę i sprwadzę jak najprędzej najbliższą rodzinę; matkę i rodzeństwo.

WISŁO WIDARBANIE - ZOBOWIĄZANIE OBWIAZANE, MIANY ██████████ I
UZYSKANIE WŁASNE NIMSKANIE -

Najbliższą więc moją czynnością po tygodniowym wypoczynku było zarejestrowanie się w Zarządzie Miejskim n. ██████████. Do dziś pieczętowanie przechowuję ten akt ewidencyjny noszący nr ██████████. Jeżeli zwążyć, że dopiero ██████████ 1945 roku wydano mi ten dokument to chyba kależciłbym się w pierwszym tyścu osadników polskich, że każdy dzień powiększał liczbę przybywców nieustannie napływających

do miasta. Dokument ten wprowadził wystawiony na starym polisie-
nia papierze, ale na już porządkowy druk polski /wyraźna essicotta/ co
jak na ówczesny okres oznaczało dobre świadczy o przychodzie admini-
stracji polskiej. Zamieszkała została do mieszkania swoich znajome-
nych przy ul. [REDAKCYJA] /bo wtedy nie było jeszcze polskiego
mieszkania dla ulic miasta/. Było to dla mnie i warunkujące i wa-
żne przeżycie. Rozważałam się w pewnym sensie odpowiedzialna za to,
co się dzieje w mieście, a równocześnie sama rozpisana na to z tego
że i ja w skromnym zakresie pracą swoją przyczyniłam się do odtworze-
nia miasta i przywrócenia mu charakteru słowiańskiego, polskiego.

Nieco nie uregulowanego jeszcze trybu codziennego życia miej-
skiego, uspokoiłam się wewnętrznie, uświadomiłam sobie bowiem, że
jest to pierwszy krok do stabilizacji, że ode mnie tylko zależy, a-
bym "zadecydowała" się jak najprędzej w [REDAKCYJA]. To też zaczęłam
moim trybem życia pomagać w wyszukaniu pracy i mieszkania. Uczy-
wałam się jako wykwalifikowana nauczycielka z kilkudziesięcioletnim stażem
w tym zawodzie, nie wyobrażałam sobie innej pracy. Wtedy pierwsze
moje starania skierowane pod adresem organizującego się Inspekto-
ratu Szkolnego przy obecnej ul. [REDAKCYJA] /dziś już nie posiada-
tem dawnej nazwy niemieckiej/. Ale o tym opowiem nieco później.
Kontynuując tu chciałabym wspomnieć o dalszym akcie stabilizacji tj.
o uzyskaniu własnego mieszkania.

Mieszkałam wówczas było w bred, bo miasto duże, a ludności w
stosunku do jego obszaru, była garstka. A więc wybór był ograniczony.
Namawiano mnie bardzo usilnie do wzięcia jednorodzinnej małej willi
na dalsiej części pogodnie. Propozycja - nie powiem - kusząca, ale
miała swoje ujemne strony. Zauważyłam sobie, że przy mieszkaniu takim
będzie dla trzech osób na obszarze /matka, ja i siostra/. Nie wie-
działam jeszcze na pewno czy brat zgodzi się tu na osiedlenie z
dalekiego województwa krakowskiego. Poza tym na terenie [REDAKCYJA]
stały wówczas liczne formacje wojskowe, oprócz nich czekała zwycię-

skiego pochodu na Berlin, a aura wojenna nie sprawiała cichości i spokoju. Dość często słyszał było strzelanie. Powie, że w większości były to strzały na wiatr, z jaskrawej upojonej radości, że już po wojnie, że wraca się do rodzinnych stron, ale gwiżdzące kule nie pytały o cel i zapychały potrąbiły pragnienie niespodziewane niebezpieczeństwa. A że komunikacja [redacted] ze Środzieńcem odbywała się "per pedes apostolorum", więc nie udzielało mi się tak daleko /w ówczesnym pojęciu/ szukać mieszkania.

Po paru tygodniach znajomy mój p. [redacted] i zawiadomił mnie, że ma dla mnie pragnienie na 4-ro pokojowe mieszkanie w Środzieńcu. Przy tym dowiedziałem się, że nie wiadomo, co się w tym mieszkaniu znajduje, ale na pewno jest instrument muzyczny /pianino/ o co mi najbardziej chodziło, gdyż własny zestawiałem daleko na wsi podkrakowskiej i o sprowadzeniu go nie ma w najbliższej przyszłości mowy, a przecież wciąż myślałem o kontynuowaniu studiów muzycznych, jak tylko ku temu zaistnieją odpowiednie warunki.

Z radością przyjąłem tę nowinę, bo to i własny kąt i możliwość przywrócenia sobie mieszkania /po raz pierwszy w życiu miałem otępienie takie obzerne podziwianie/ no i miejsce dla tych dwóch najbliższych osób, jakie postawiałem tam daleko w oczekiwaniu i niepewności, a przecież dla których już tyle poświęcałem ze swego życia.

I znów otrzymałem drugi już teraz dokument polski w polskim [redacted] z datą [redacted] 1945 roku z l. [redacted] w trójjęzycznym brzmieniu; polskim, rosyjskim i niemieckim. Na mocy tej nominacji uzyskałem prawo zajęcia mieszkania przy [redacted]

Alco radość moja okazała się krótką. Mieszkanie to bowiem przeważnie kaduka zajęł jakiś urzędnik przedstawicielstwa Ministerstwa Informacji i Propagandy, który nie tylko, że nie oddał kluczy do mieszkania, ale jeszcze odgrażał się, że jeśli odważy się tam

zamieszkać, to wyśle mnie "na biało niedźwiedzie". Mimo, że fizycznie czułem się już wtedy bardzo źle /o czym byłem nowa później/ to jednak energicznie przeciwstawiłem się temu, a o opiekę udałem się do Komendy Milicji Obywatelskiej, której wysłannik, wtedy porucznik, otworzył przełaz, wraz ze mną mieszkanie, przybił na drzwiach moją nominację, prawosznę i z poleceniem prezydenta miasta. Postarał się nawet o dorobienie klucza dla mnie do osobistego zamka. Dziś nie pamiętam nawet, jak wyglądał ani jak się nazywał ów porucznik, ale zawsze z wielką wdziękowością wspomina go i z radością tłumaczy, że w tym pierwszym okresie powojennego chaosu już tak sprawnie i sprawiedliwie działała władza ludowa. Były to prawdziwe początki stabilizacji życia w mieście. Do sprawy tego mieszkania wrócę jeszcze, aby dać wyobrażenie stosunków panujących wówczas.

WSPOMNIENIA ZAPISANE

Jak już wspominałem, swoje pierwsze kroki w sprawie pracy skierowałem do Inspektoratu Szkolnego. Ale nie był to jedyny sposób zatrudnienia. W warunkach organizowania się miasta na nowo, od podstaw, przy ciągle jeszcze małej liczbie mieszkańców - bardzo było łatwo o jakąkolwiek pracę umysłową. Ludzie z pełnym średnim wykształceniem byli przyjmowani z otwartymi rękoma, bo w takiej postaci kulturalnej, jaką wtedy przedstawiało Poznań, każdy człowiek po maturze, do tego z kilkuletnim stażem pracy w administracji państwowej, liczył się na wagę złota. Nie wystarczała już na potrzeby miasta ta pierwsza ekipa pionierów, przybyła z Poznania, o czym wspomina Br. [REDAKTOR] w swoim artykule "Harosiny miasta" /Kurier [REDAKTOR] Nr 79 z dn. [REDAKTOR] 1970 str. 4-5/. Jak wynika z jego publikacji - zachowanych 19 wykazów - list obejmowało nazwiska prawie 660 uczestników z podaniem ich wieku, zawodu. Byli to ludzie w pełni przygotowani zawodowo do

pracy i doświadczeni życiowo, bo granice ich życia zostały się
niekiedy 25 a 45 rokiem życia.

Wnio to coraz bardziej zwiększający się zakres obowiązków
przekraczał możliwości tych ludzi, więc każdy z naszywaną się
wciąż fali człowieka legitymujący się odpowiednimi dokumentami,
bez trudu miał kilka posad do wyboru. A więc i mnie proponowano
kilkakrotnie posadę sekretarki, referentki, nawet kierownika biura.
Ale wierna pozostałam swojemu zawodowi, bo bez szkoły i uczenia nie
wyobrażałam sobie wtenczas życia. To nie, że szkół jeszcze nie ma,
to nie, że klatry nauczycielskiej również. Na pewno będzie i jedno
i drugie. Wśród ociekających budynków znajdują się pomieszczenia dla
działki, a chętnych do udziału w pracy też zapewne nie braknie.
Zresztą słyszałam, że już organizuje się pierwszy urząd tj. Inspe-
ktorat Szkolny.

Ważne też się zgłosił.

MOJA PIERWSZA PRACA

W kilku ciemnych pokojach na parterze okazałej kamienicy
narcotycznej, jedynej prawie ociekającej na tej ulicy w przedmieściu kilkuset
metrów - znajdowały się w owym czasie Inspektorat Szkolny. Tru-
dno to nazwać było biurem - pokoje zawalone gratami dopiero były
w trakcie oczyszczenia, mycia i nadawania im jakiegoś takiego
wyglądu urzędowego.

Była to połowa lipca 1945 roku. Skonieczna, stale utrzymująca
się, pogodna nastrojała optymistycznie, więc choć nieco przesadnie
byłam wielokrotnie stocz - nazwijmy to - "mebelków" - chociaż mabrałam
się do pracy, tym bardziej, że mój pierwszy przełożony w [REDAKTOR]
[REDAKTOR] spodobał mi się od pierwszego wejrzenia. Był on niemożliwą
ducha i nieposkręconą energią. Był to, daliśmy już od 2 lat niedyktacji
[REDAKTOR]. Wysoki, przystojny, z lekka siwawy pan. Przejść

nie z ogrodem, serdeczną wprost kochalnością i z nieznaną satysfakcją, że aż do uruchomienia pierwszej szkoły, pozostał w biurze Inspektoratu na stanowisku referendarza. Wynagrodzenie jasne nie sprecyzowane, a i jego wypłata w aglistych zarysach. Ale to mi nie przeszkadzało. Wszyscy wtedy tak pracowali, nie myślało się o pieniądzach, a o konkretnej pracy, aby tylko jak najprędzej [REDAKTOR] uzyskać wygląd normalnego miasta.

Zaczęliśmy więc od wynoszenia niepotrzebnych mebli, nieraz składanie gratów - nastąpiło na ustawianie szaf, biurok zdobytych przez inspektora [REDAKTOR] wiadomym tylko jemu sposobem. Po namu pokoje zaczęły nabierać urzędowego oblicza. Cudem jakimś wykorzystywana stara poniewieżka maszyna do pisania służyła mi do wypisywania różnego rodzaju pism, których z dnia na dzień przybierało.

Z o terenach pierwszych pedagogów paniątan małe stało [REDAKTOR] [REDAKTOR]. Przeszłe lata satały w paniąci naswieża pierwszej dwunastki nauczycielskiej w [REDAKTOR], choć wtedy one nie były bardzo dobre. Usiłowaliśmy się wszyscy jedna wielką rodziną. Siedliśmy sobie dosłownie kabym kawałek chleba czy garstką ziemniaków.

Paniątan, że trzeba to były dni urzędowania w Inspektoracie na [REDAKTOR] nie paniątan starej poniewieżkiej maszyny/. Brak było podstawowych warunków, jakim jest np. światło. O 100 metrów od naszego biura była komenda jakiejś formacji wojska radzieckiego, która miała instalacje elektryczne - a u nas było ciemno. A przecież czasem trzeba było pracować wieczorami, pełnić dyżury, szczególnie gdy późnymi godzinami przyjeżdżały transporty w których znajdowali się nowi kolejarzy czy koleżanki, zgłaszający się potem do Inspektoratu Samolotnego i trzeba było im zapewnić jakiejś prowizoryczne nocow.

Stąd m.in. miałem obowiązkiem - wykonać się jeden z rozdzielonych tj. przyspieszyć sprawę zakończenia instalacji elektrycznej

przez naszych elektryków z elektrowni miejscowej. Pierwszym jej dyrektorem był bodajże ob. [REDAKTOR], samochodowy oficer naszego wojska. Wziął się i tracił, żeby sprostać swoim zadaniom. A nie była to była sprawa, bo i brak materiału, a i ogólny brak XX fachowców z prawdziwego zdarzenia.

Później swoje kilkakrotnie wstąpił do elektrowni, przy dzisiejszej ul. [REDAKTOR]. Sprawa ta była dla mnie drogą wśród ruin i pustki zalanej tylko śluzem przesycającym niecierpliwie, bo byłam już wtedy bardzo chora i z dnia na dzień ciż mi ubywało. Mijały mnie potworne bóle wzdęcia i wszystkich wewnętrzności przy suchym uporczywym kaszlu.

Nie zdawałam sobie przez długie tygodnie sprawy z tego, że pałam ofiarą epizemu surowo bransowanego, który wszedł wówczas w [REDAKTOR] i wolał okryty płon bez względu na narodowość polską, rosyjską czy niemiecką, choć to ostatnią najbardziej prześladował.

A zaczęło się, to tak słychajcie, po prostu!

Pracując nas wprowadzono przed picie surowej wody, obowiązkowo z kranu czy stua iem, których wtedy było wiele czynnych, ale nikt tego jako poważnie nie traktował dopóki nie rozszalała się po mieście wieść, że kilkanaście osób dziennie umiera na tyfus bransowany, szczególnie wśród wygłodzonych dzieci. Oczywiście pilnie wszyscy wodę przegotowaną, najczęściej jako ośmiok, herbatę, rusiankę, bo inaczej w tym czasie w [REDAKTOR] nie było, przynajmniej w kręgu znajomych i najbliższych współpracowników.

Było to pewnego ranka, w drugiej połowie lipca, kiedy już od szeregu dni pracowałam w Inspektoracie Szkolnym. Spieszyłam się bardzo do biura - nie pamiętam już dziś - jakie to ważne sprawy czekały na mnie do załatwienia, a tu jak na złość rozboleła mnie ogromnie głowa - coś w rodzaju napadu migreny. Chcąc sobie pomóc w cierpieniu, bez namysłu wzięłam kilka proszków przeciwbólowych i popiłam wodą z kranu /niepamiętam wtedy jeszcze u znajomych przy

[redacted] /zapominając zupełnie o wszelkich przestrzegach związanych z wodą pitną. Ból zmniejszyć się powoli, pozostało tylko odpić jak zwykle po tego rodzaju specyfikach farmaceutycznych - przebiegłam szybko przestrzeń dzielącą mnie od [redacted], a tam pogrążona w pracy, zapomniałam o wszystkim, choć po kilku godzinach zaczęłam się czuć niewyraźnie, a po pobudzeniu nastąpił pierwszy atak bólu, po nim zaś następne. Myślałam początkowo, że to z głodu, bo różnie to bywało z wyżywieniem w początkowym okresie życia pionierskiego.

Zaczęło mnie ratować domowy aptecznik i proszki o silnych działaniach rozrzuconych narkotyków. Te znieczulające środki działały najpierw na przeciąg kilka godzin. Nikt z nas nie zorientował się w charakterze choroby. I tak się woli chodzić, pracować normalnie, co prawda, że czasem skręcałam się z bólu, ale za żadną cenę nie chciałam się pokoryć i przerwać choćby na jeden dzień pracy. Przeciwnie! Wynajdywałam sobie dodatkowe społeczne zajęcia w godzinach wolnych od pracy.

Raz, tak jeden taki dzień, gdy już nas z rzedu któryś usunął do elektrowni w sprawie ciągle jeszcze nie zakończonego światła. Droga ta sławała mi się bez końca długą i nie oślizną, a czasem wielką.

Atak za atakiem męczył osłabiony organizm, która ruina wypalonego domu była chwilową przystankiem, wiadomo w jakim celu. Przy sobie nie miałam już żadnego narkotyku, bo dużą dawkę zabrałam jeszcze w biurze. Do dziś nie wiem, jak dotarłam wreszcie do elektrowni. Wiem tyle, że właśnie w tym dniu załatwiłam wszystko pomyślnie. Szczęsna, choć osłabła wracałam z wiadomością, że za kilka dni będzie upragnione światło. Ale droga powrotna daleko jeszcze więcej trudu mnie kosztowała - w sumie straciłam na tę eskapadę dobrych kilka godzin. W biurze nie sławano sobie sprawy ze starego stracha, bo kryłam jak nogłam przed wszystkim najgorzej

ataki bólu, skarłąc się jedynie na ciągły ból i szum w głowie. A moje przydatne ułatwianie spraw na miejscu poszerzałam w różny sposób. Jak zawsze byliśmy ignorantami w tych rzeczach może położył inny fakt z innego dnia. Już w pierwszej połowie sierpnia 45 r., zaczęły organizować się różne stowarzyszenia n.i.a. Liga Norwica, której pierwsza siedziba mieściła się przy obecnej [redacted] w ślicznym pałacyku, tam koło willi, gdzie dzisiaj jest Polskie Radio. Jeśli się nie myli to obecnie zajmuje ten pałacyk Komitet Miejski PZP.

Ja razem ze znajomymi brałam udział w początkowych zebraniach organuającego się Zarządu Mi. Radycum - jakby to było dziś - jedno takie zebranie! Koncentrowało w nim kilkadziesiąt osób, wśród których znajdował się jakiś lekarz wojskowy. Skorzystałam z okazji i opowiedziałam mu o swoich dolegliwościach prosząc o poradę. Popatrzył na mnie przeciągle i... otrzymałam taką odpowiedź: "ból bólem, to pewnie niekiedy kieszek ze złego odżywiania, a kaszel świadczy o chronicznym bronchit. Ale mam dla pani jedną dobrą radę - pomoc na wszystkie choroby". - Jaką? - przerwała mi w nadziei, że mi przepisze skuteczną kurację. Na to z czującą uśmiechem odpowiedział elegancki lekarz: - "najlepsze to: aspiryna, pierazylna i ciotopocyna." - Zaniósłszyłam z wadzeniem, na taką beztroską poradę lekarza: - nie wiedząc wcale, że rozmawiam z weterynarzem wojskowym. No cóż. Przepadki chodzą po ludziach. Został martwym; niebywałą poradę lekarską i w dalszym ciągu nadalżywając aptecki domowej, męczyłam się ogromnie walcząc o coraz bardziej postępującą chorobę.

Może nieco przydatnego opisuję ten fakt, ale szczerzyż on zasadniczo na późniejszym trybie, a poza tym jest to pewnego rodzaju ilustracja warunków, w jakich żyło się i pracowało w tych "pionierskich czasach".

W ten stan trwał kilka tygodni. Stan bardziej słabł, a

stotówkowego jedzenia w Włd-ss /supa z maki, masoły caleb, casso
kasma/prawie że nie jadłam, popijając tylko kompot z rabarbaru. Do
pió mi się chciało ponad miarę. Aż pewnej szorstkości parzytnej
soboty poczulałam się; tak było, że ostatkami sił dowlotłam się do In-
spektoratu Szkolnego - wszystko i wszystkich widziałam jak przez
mgłę. Mimo to, kiedy dostałam polecenie usania się do "urzędu Miejs-
kiego z upoważnieniem na odbiór salicyli na posoje dla nieszczęśliwych,
poczulam, choć jak się wówczas wyrażałam - "cały Baktyk siedział mi
w głowie". Umiałam musiałam chyba tracić świadomość, bo kilkakro-
tnie przebiegałam stryżoną; od kufiera dumy, gdyż cyfry mi się już
plątały. A że różny jeszcze element przybywał na Pomorze Zachodnie
i obejmował nieraz nawet ekspozowane stanowiska - to też nie bardzo
się do pan dawał temu nieporadnemu zliczeniu pieniędzy. Szczęśli-
wie dobiegłam do naszego biura, oddałam pieniądze i dopiero teraz
przynależałam się do swojej choroby, obciążając jednak w poniedziałek
przejść normalnie do pracy. Zdołałam się jeszcze dowieść do stotówki
/nad Gdą/ ale do dziś nie wiem jakim instyktom wiedziałam potrzebi-
ć wrócić do swego mieszkania, bo nie poznawałam już ani ulic ani
ludzi. Wiesz tylko tyle, że bardzo długo musiałam błądzić ulicami
miasta, bo przyjechałam na swoją ulicę zupełnie z przeciwną strony
niż powinna i to dopiero pod wieczór, a szłam bardzo długo jałą
zadziwioną aleją, prawdopodobnie obok Piastów. Stąd wniosek, że
musiałam iść wzdłuż "Miry w stronę" Pomorza i stamtąd okrężną drogą,
wrócić do Śródmieścia. W każdym razie musiałam być bardzo zmienio-
na na twarzy, bo w bramie domu wystraszyłam spotkaną Nienkę, żonę
indykera, o której wiedziałam, że była właścicielką tej kamienicy.
Ona pomogła mi wejść na drugie piętro, do mieszkania, zajęła się
mną bardzo pieczołowicie i jak mogła ratowała mnie, gdyż gorączka
wysoka /prawdopodobnie ponad 40°/ obejmowała mnie kompletnie.
Wieszkała wraz z mężem i jejną córeczką w oficynie i wybierała
się do Nienki, jak się później dowiedziałam, po to, by stamtąd

udać się do Brasylii, gdzie w barłach łowiali swoje osobistości i taniery z jego wynalazków, nie dowierzając stabilności marki niemieckiej. A wobec tego, co się działo w Niemczech, nie chcieli zostać w "domie". Byli bez partyjni.

W kamienicy, oprócz nich, s. osty inżyniera, mieszkał na tam samym pięttrze co ja, i na parterze restaurator z rodziną, pochodzącego aż z Łomżyca - nikogo więcej nie było. Tylko wiatr हुआł po opustoszałych mieszkaniach wiewając się poprzez uszkodzony do połowy dach 5 piętrowej kamienicy i dach również uszkodzonych okna.

Nie było bezpiecznie było wówczas pozostać w takiej kamienicy, tym bardziej, że dużo osób udało się po klatkach schodowych, przeważnie podążających do mieszkania Niemki na przeciwko tego mieszkania. Byli to wszyscy w sile wieku. Ale zajęta pracą i chorobą nie zwracała początkowo sztywnej uwagi na to towarzysze odwiedzające tak często samotną stała nauczycielkę Niemkę. Dopiero znacznie później, już po powrocie do szpitala, po poważnej burzliwej nocy, kiedy mi samowolny wrzask tej kobiety napomniał kamienicę i podwórko - dowiedziałam się, że Milioja Obywatelska wysiedliła ją przymocą, a dokonana w jej mieszkaniu rewizja ujawniła, że był tam cały skład broni, amunicji i oficerskich mundurów oraz kilka ubrań cywilnych. Jak wynikało z dochodów - Niemka ta zapętrywała oficerów w cywilne ubrania i ułatwiała im ukrywanie się w kanałach [REDAKTOWANE], bo jeszcze byli tacy, którzy nie wierzyli w zakończenie wojny i klęskę Niemiec i wyszukiwali sposobnej chwili, by usiąść na skądą młodej władzy Ludowej Polski. W przeciwieństwie do niej - inżynier z żoną byli ludźmi spokojnymi. U nich to, w moim właśnie mieszkaniu odnajdywano pokój Polka, pracownika konsulatu polskiego w [REDAKTOWANE] do 1939 roku.

Wracając wspomnianiam do swego wieczoru, kiedy to po długim błądzeniu wróciłam do domu, muszę gwałt sprawiedliwości powiedzieć że troskliwej opiece żony niemieckiego inżyniera zawdzięczałam to,

że przeżyłam tych parę dni, póki nie przyszła pomoc znajomych. Nie umiałam dokładnie wyjaśnić jej, gdzie oni ~~nikąd~~ mieszkają, bo majaczyłam i ulegałam różnym halucynacjom, świadom znanych mi osób. Niemka ta całymi godzinami siedziała przy mnie niosąc mi taką pomoc jaką w tych warunkach można było udzielić. Przez przeszło jeszcze tydzień byłam w domu, na łasce obcych ludzi, zanim odtransportowano mnie do szpitala zakładu.

I w tym właśnie czasie, późną porą miałam niespodziewaną wizytę rodaka z delegatury Ministerstwa Informacji i Propagandy. ~~Prawdopodobnie od kogoś dowiedział się, że leżę chora i bezsilna,~~ więc mając klucze do mieszkania, przyszedł wyszabrować resztę rzeczy, których poprzednio nie zdążył wynieść. I tak się rzucił po całym mieszkaniu, jak po swoim, a ja nawet zaprotestować nie mogłam bo już nawet mówić ledwo dosłyszalnym szeptem z osłabienia. Zresztą tak mi wszystko było obojętne, że tylko powiekami dałam znać, iż przyjąłam do wiadomości jego wyjaśnienia, które w końcu rzeczy mi udzielił na temat zabrania jego osobistych rzeczy. Jak się później okazało z relacji poprzednich gospodarzy tego mieszkania, to do jego osobistych rzeczy należały: perski dywan z jadalni, nakłady, narzuty, cała teka nieoprawionych obrazów współczesnego malarza Hofmanna/podobno Vlastimila/ itp.

Te dni beznadziejnego leczenia w domu i oczekiwania na śmierć wryły mi się głęboko w pamięć. Brak snu, wyostroszony gorączką słuch, ogromny nieustanny ból głowy - wszystko to sprawiało, że każdy strzał na ulicy, każda awantura pod restauracją z dobijaniem się do bramy odbijały się w moim zmęczonym mózgu stokrotnym echem, powiększając grozę nocy i dni.

Aż nagle ~~zniknął~~ zjawia się u mnie lekarz z prawdziwego zdarzenia /przysłany został przez moją znajomą Zdzisławę/ - i w pół godziny później, na noszach wyniesiono mnie do naprętku zorganizowanego woziku /lora wózka na warzywa/, na którym pod prześciera-

skazi stopy już dwie pary noszy. I w takiej sytuacji wolniutko, truchlikiem powędrowałam przez całe miasto prawie, do nowo organizowanego się szpitala kakałnego, przy ul. [REDAKTOWANO] /dawna [REDAKTOWANO] /
Mimo ciężkiej choroby wysokościowej /ponad 40⁰/ byłam najzupełniej przytomną, nieważąc sobie o tego sprawy, że ani rano, nie było mi to już obojętne mimo cudownego sierpniowego słońca, wystarczającego nawet tu podczas latania, na której jechałam. "d czasu do czasu kochałam tylko samosona myśl - na nie nika, na nie starania dotychczasowe, jestem sama, a najbliżsi tak daleko i nie nie wiedzą, że już im zapewne nie nie będą mogła pomóc.

Z tej jazdy pamiętam taki charakterystyczny szczegół. Był przed szpitalem wóz stacyjny, sblizoty się do niego dwie młode kobiety, - jak się później okazało - niemieckie lekarki, które po dyktando były już do domu. Na mnie nawet nie spojrzwały, co ich mogła obchodzić jakaś tam Polka, bo z rozmowy z konwojującą nas pielęgniarką, również Niemką dowiedziały się, o przykrytych przebiegach choroby w szpitalach. Ale jak szybko odkryły plotkę, tak jeszcze szybciej z okrzykiem przerażenia i strachu zażenowały towarzyszące mi nosze i przede wszystkim jechać dalej. Dowiedziałam się, że jadę w towarzystwie niemieckich, albowiem ludzi, których do szpitala nie wiele już pozostało. Ale i to na mnie żadnego wrażenia nie zrobiło - wiedziałam, że za jakiś nie długi czas mogą tak samo wyglądać.

Ważna opisać swoje, bądź co bądź subiektywne wrażenia z pobytu w szpitalu - encyklopedycznym możliwie najwierniej oddać następujących dni w relacji [REDAKTOWANO], który w artykule "Hajpior był ofiarą" - /Głos [REDAKTOWANO], Magazyn. Nr [REDAKTOWANO] s. [REDAKTOWANO] [REDAKTOWANO] 1970 r./ tak opisuje początki tego szpitala. Cytuję...
"Jeżeli więc podam tu sierpień 1945 rok jako początek historii dzisiejszego Wojewódzkiego Szpitala Kakałnego przy ul. [REDAKTOWANO] to kasnego kto choć w małym stopniu potrafi wyobrazić sobie trudności pierwszych miesięcy w wyswoleonym [REDAKTOWANO], musi mieć pasja,

poświęcenie i zapiał do pracy tych ludzi, którzy tworzyli tu wówczas podstawy społecznej służby zdrowia, w szpitalu przy ul. [REDAKTOWANE], to wówczas: pierwsza jego dyrektorka dr [REDAKTOWANE] oraz [REDAKTOWANE]. Szpitali skrajnie opuszczanej przez dr [REDAKTOWANE] kronice szpitala, dowiadujemy się, iż [REDAKTOWANE] 1945 r. w szpitalu tym przebywało już 20 chorych, a ogółem w sierpniu tegoż roku leczono tu 170 chorych na jedną wówczas oddział "sakajny".

Tyle autor publikacji. A ja dodam od siebie, że w rejestrze tych 170-ciu chorych na pewno znajdują się i moje nazwisko. A o staraniach wprost bonitarskich tej gwardii lekarskiej, aby przynieść ulgę i dobrocie ludziam powierzoną ich opiece - opowiem tylko krótko. W chwili kryzysu, gdy chodziło o życie lub śmierć moją, całą dobę siedział przy panie jakiś młody lekarz i co jakiś czas głośno dawał zastrzyki na podtrzymanie akcji serca, bo już nic innego zastosować mi nie było można. Odchodził do innych chorych dopiero wtedy, gdy kryzys mijał, temperatura przestawała wychylać nienormalne skoki to w górę, to w dół, a ja wreszcie potrafiłem otworzyć oczy i usmiechnąć się, co usiłowałem zrobić jak najwcześniej, a co przypominano chyba gęmus skrzywionego dziecka. Nie wiem jak wyglądał ten lekarz, ale jego pełne poświęcenie postawy nie zapomniał nigdy. Również i dr [REDAKTOWANE] odwiedzała mnie, kiedy byłem już zdrowy.

Z pobytu w szpitalu wspominać ciekawe zdarzenia. Kiedy mnie tak, ostatnią przyleciałem do 3-osobowego pokoiku, znajdowała się tam tylko jedna osoba, a właściwie osirowielec. Była to jakaś szesnolatek, stała się z lubelskiego - marzyła tylko o baciach na francuskim obcasiku i lamentowała, że przez cały okres choroby wszyscy jej znajomi najgłupszy już zrobili, a ona niczego do domu nie powiesiła. Pod koniec przeprowadzono młodą Rosjankę z barki rzeczowej jako trzecią do naszego pokoju. Szłaby się, że nie jest

specjalnie ciężko chore. Towarzyszący jej siostry lekarz /XXXXX/ wraca
zostawił z jej siostrami i bratem rasowego chłopa. Dławiła się
trochę takiej diabeł, ale sądziła, że widocznie nie jest chore na
tyfus. W nocy nagle wosaczyła na siebie pochyloną postać o nieprzy-
tomych od gorączki oczach. Przeraziła się bardzo, gdy zobaczyła
ją całą zabrakną, i gwałtownie wychylała się do tego łóżka. W
pierwszym momencie stręsnęła ze strachu, a potem sama nie wiem
skąd wzięła tyle siły - wrzasnęła nieludzkiem głosem, aby sobie
poszła do swojego łóżka, przy czym gestem wskazywała miejsce, a sama
serwowała się z łóżka, ubrała się w płaszczy i wyszła na korytarz.
Była to póżna noc, głuchy i pusty, słabo oświetlony korytarz wyda-
wał mi się nieskończenie długi. Wzbrany wszystkie siły, naczyła
wołać - "siostró" -, ale był to tylko słaby pisk jak kocięta, a nie
ludzki głos, to też nikt mnie nie słyszał. Postanowiła pójść do
dyżurki siostr i zawiadomić o stanie tej chorej, bo matka rodaczka
nakryła głowę kocem i udawała, że nie nie widzi, ani nie słyszy.
Ale droga do dyżurki była ponad moje siły, to też trzymając się
ciężko pięciokrotnie osuwała się siedłana na podłogę. I cując się
od zimnego betonu powoli doczołgała się wreszcie do dyżurki, gdzie
pod drzwiami ponownie siedziała. Przedtem jednak wymamrotała parę
słów na temat przynędy w pokoju. Losywiecie ruch zrobił się ogromny
po wysprzątaniu przeniesiono mnie na rękach do mego łóżka, a rano
zabrano chorą dziewczynę do organizującego się, już osobnego szpi-
tala rodzickiego. Ale o tym dowiedziała się znacznie później bo
u mnie zaczął się właśnie kłopotliwy krytyczny moment - nie byłam już
zdolna ani ust ani oczu otworzyć. Nie pamiętam już dnia jak długo
przebywałam w szpitalu. Było ciężko, smutno i ubogo w tym czasie.
Kamiono nas sąp z naki, bo ani gryzku ani masy czy rybu nie
było. Dopiero potem przysłano mi z inspektoratu parę złotych zali-
czki na pensję i prywatnie kupowała coś nie coś, prosiła usługujące
nam kobiety o zrobienie zakupów dostępnych w owym czasie, bo już

pojawiać się, zaczęły pierzask prywatne sklepy.

Nie mogłam doczekać się chwili powrotu do domu. Na moje usilne prośby wypisano mnie o 2 dni wcześniej niż się należało. Było to w sobotę, kiedy przyszli odwiedzić mnie znajomi - uparliśmy się wraz z nimi wracać do domu. Po zdumiewających twarzach obu panów tj. [REDAKTOR] i mgr [REDAKTOR] zorientowałam się, że chyba wyglądam nieznacznie /a lustro nie miało/ skoro boję się wziąć mnie ze sobą. Ale od czegoś płacz kobiecy. Kraczy on najtwardsze słowa, a coś dopiero litologiczne serca dyski. Wzięc po załatwieniu formalności Kancelaryjnych - wyruszyliśmy w trójkę piechotą z Arkodzkiej na [REDAKTOR], bo taką pierwszą naszą otrzymała ulica przy której mieszkałam. Dział naszym się [REDAKTOR].

Była to - jak już wspominałam - piękna słoneczna sobota. Podtrzymywana silnie z obu stron wlekłam się nogą za nogą do dalekiego domu, bo leżąc w łóżku, przeceniłam swoje siły fizyczne. Jednak słońce woli, a raczej babki upór sprawił, że przeszedłam całą tę kilka kilometrową trasę i półnym popołudniem znalazłam się u siebie. Wszystko dobre co się dobrze kończy. Moje przygody tyfusowe skończyły się czterotygodniowym urlopem strawotnym, po którym wróciłam się ostro do pracy.

Tym wiec, czy zapadł mnie do niej ogarnął, że bardzo uroczyście i gromadnie witali mnie wszyscy nauczyciele z inspektorem [REDAKTOR] i jego żoną na czele. Byłam zaszczytnie serdecznie przyjąca jakże mi w mieszkaniu, pełnym kwiatów zgotowano. Mito to czuło się bohaterką dnia, a taką byłam, gdy uśmiechałam kostusi spod kozy. Zresztą były to czasy jakiejś ogromnej włości między ludźmi, bezpośredniej szczerości, bez półniewolnych napuszczonych konwencji. Wiadomo w ów czas radość z odzyskania wolności bratała ludzi całkowicie sobie obcych. Każdy z nas odczynał spokój i szczerze na myśl, że już się skończył koszmar okupacyjnej nocy.

Uprawiała po przyznaniu leninowskiego otrzymanym oficjalny
praca do grona pedagogicznego pierwszej szkoły podstawowej im.
[redacted] przy [redacted] ale nadal pracowała do końca
roczni w Inspektoracie Szkolnym, wykonując dużą pracę w załatwianiu
spraw administracyjnych pod wytrwałym okiem wspomnianego już inspe-
ktora szkolnego kol. Wiktora Pachorskiego.

Z niżejższasie Kuratorium Okręgu Szkolnego Szczecińskiego
przenieśli się z Kołczaliny do Szczecina, do dużego gmachu przy ul.
Piaśtów. Nowi ludzie i nowe znajomości. Jak bardzo ~~zadowolony~~
zdumiałam się i ucieszyłam, gdy wśród nich zobaczyłam profesora
[redacted], ówczesnego naczelnika Wydziału Szkół Mied-
nich w tymże Kuratorium.

Było to przecież nie do opisania. Od wielu lat niewidziany
mój były profesor matematyki i długoletni wychowawca ze szkoły śred-
niej we Łowiczu - dobry przyjaciel i zawsze młodzieży jak rzadko
kto - jest teraz tu w [redacted]. Tak to na prawdę niespodziewany
dar losu. Tak jak bym zobaczyła kawałek swego rodzinnego miasta -
miasta mojej młodości. Okazało się bowiem, że prof. [redacted] był
wypędzony kilku osobom koncentracyjnym, że wrócił z transportem
chorych z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z Łubeki. I po odzuo-
szeniu swych dzieci /syna i córki/ pragnie osiedlić się właśnie
w [redacted].

Œczywiście moje obszerne mieszkanie stało się dla niego i jego
rodziny chwilową przystanią, do czasu uzyskania przez nich własnego
mieszkania. Zresztą nie tylko prof. [redacted] korzystał z mojej goś-
cinności. Prawie całe nauczycielstwo zatrzymywało się wtedy u mnie
na krócej lub dłużej. Moje mieszkanie stanowiło wówczas jakby pu-
nkt informacyjny - co, gdzie i jak? A że miałam wiadomości z pier-
wszej ręki, więc nie dziwnego, że tłumie u mnie i gwaro.

W swoich wspomnieniach /w liście prywatnym/ tak pisał [redacted]
[redacted]...U [redacted] zatrzymuje się całe nauczycielstwo. Tu

udziela się informacji... [redacted] gościła czytując herbata, a jak jest coś innego to również - wesoła, żywa, gadatliwa, wesołego się, tak można powiedzieć. Spisywany miło chwila. [redacted] gra na pianinie, śpiewa, a my przecież staliśmy, stajemy i są jakbyśkolwiek rozrywki. Życie w [redacted] pełne emocji, smiesz i ciekawe..."

... "Pracuję w sekretariacie prezydenta [redacted]. Ten ruch cały dzień nie do opisania. Tyle ludzi chce się dostać do niego. Sekretarz pan [redacted] co może, to ułatwia, ale tworzą się coraz to inne przedsiębiorstwa - narady trwają najwyżej godzinę bo nie ma czasu. Ten klimat takie, ten inne zagadnienia ma do załatwienia. I ogólnie pisać coś nie sposób, bo tyle ciekawych spraw, że nie można skupić uwagi na jedną sprawę."

Tak to mieszkania prywatne następowały w owym czasie kawiarnie, kluby i inne miejsca spotkań. Był w pewnym sentymentem wspominać te chwile. Dawały one jakąś varussaję i niesymetryczność. Poza tym ciągle czułam, że jestem kowal potrzebna, że nie wyje nadaremnie. Szczerają się w panice szczególnie spotkań, rozmów i chwilowo trwałych przyjaźni, ale do dziś trwam głęboko wewnętrzne przekonanie, że wtedy ludzie byli szczerzy, bliżsi sobie i bardziej otwarci w niesieniu pomocy innym.

Jak wtedy, z końcem 1945 roku wyglądał [redacted] Aso, ulice były raczej ciemne wieczorami. Skąpe oświetlenie posiadały tylko główne ulice śródmieścia, a więc: [redacted] no i przede wszystkim, główna arteria [redacted] Jeszcze grupy nie rzadko walały się po alejach, chociaż było ich o wiele mniej, a śmieci powoli zaczęły znikać. Mieszkańcom prawie tu przy [redacted] [redacted], na którym przez czas służby spoczywały ciała poległych żołnierzy rasieckich, którzy z syberyjskich równin i nadwołżańskich stepów tu znaleźli wieczny odpoczynek w trudach wojowania za polski [redacted]. Ten mały cmentarzyk w środku miasta

zwykle robił wrażenie i do szczególnych potrzeb refleksji.

DRUGA PRACA W ADMINISTRACJI SZKOLNEJ

Bliski znajomościom zrobionym przy okazji odnalezienia swego dawnego profesora w Kuratorium U.S.S. - nawiązałam kontakt z Wydziałem Oświaty i Kultury Beresytch, którego ówczesnym naczelnikiem był mgr [REDAKTOR], wspaniały organizator. Wrócił on do Polski z falą rodaków z zagranicy. Tam, w [REDAKTOR] zorganizował i prowadził podczas wojny polskie gimnazjum.

Potemnas interesowała mnie zawsze praca kulturalno-oświatowa w środowisku pozaszkolnym - nawet przed wojną, kończyłam specjalne kursy z zakresu teatru amatorskiego i różnych prac świetlicowo-artystycznych - więc szybko znalazłam wspólny język z naczelnikiem mgr [REDAKTOR].

Miał on w projekcie utworzyć teatr kukielkowy, w którym praca bardzo by mi odpowiadała. Dlatego bez trudu nakłonił mnie do objęcia na razie pracy referendarza w Wydziale z tym, że gdy znajdzie okazja utworzenia teatrzyku, przejdę do pracy teatralnej. Wszystkie formalności zostały przez mgr Wryculaka załatwione z końcem roku 1945, tak, że z Nowym Rokiem 1946 roku przeszedłam do pracy w Kuratorium [REDAKTOR] i tak oto stałam się pracownikiem administracyjnym drugiej instancji szkolnej.

Rok 1946 to dalsze konsekwentne umacnianie władzy polskiej w [REDAKTOR], to tworzenie się różnorodnych placówek przemysłowych, handlowych, to rozbudowa szkolnictwa. A trzeba pamiętać, że wtedy do województwa [REDAKTOR] należały [REDAKTOR] powiaty, bo potem z biegiem czasu odłączono ziemie [REDAKTOR] i utworzono odrębne województwo.

Roboty było więc huk.

A jak w tym czasie wyglądał zewnętrznie [REDAKTOR] ? Tu oddaję

głos publicyście [redacted], który w [redacted]
[redacted]. tak opisuje wiośnię 1946 r. - Cytuję: ... "Dro-
żąc Główny szybko zapada w ciemność deszczowego zmierzchu. Na pe-
ronach wielkie kłębki. Chmury nisko; może znów zacnie padać...
Kiedyż nareszcie zostanie podotarty nasz pociąg? Nie ma go w
rozkładzie jazdy. Russany. Gdzieś tam na 518 kilometrach jest cel
podróży; nadbrzeżski port i miasto, w którym odbędzie się jutro
i pojutrze słot młodzieży - manifestacja skierowana przeciw ponie-
mieckiemu przeobrażeniu Churchill'a... Góra. Zupełnie blisko wyżania
się czarno-błękitna wotoga wodna. Czerwieni, i białą witają nas tran-
sparanty. Można przeczytać je wszystkie, gdyż jedziemy wolno, bar-
dzo wolno. Chwilami wydaje się, że przęka się chwieją. Ale to je-
szcze nie w porównaniu z przejazdem przez drugi most, przerzucony
przez saperów nad zachodnią odnogą Góry... Pod nogami w dół, sze-
roko rozlana wielka rzeka, na prawo tam za nią - szereg zabudowań
jakiejś fabryki, w oddali - zarysy wieś [redacted], osnute lekką
mgiełką. Pociąg wjeżdża w ulicę miasta, przejeżdża obok ruin i
jezdni, które stanowią właściwie wąwozy wśród węgier usypanych u
gruzu /tak jak w Warszawie/. Gdzie niedługo wyniosły szkielec ka-
mienicy, przeświecający niebem jaśnie, kwietniowym... Szczególnie
ruchliwi są Amerykanie... Wszyscy oni przyjechali zobaczyć Polskę; w
[redacted], są mniej lub bardziej krytyczni, i dlatego wiele ich
dziwi. Spędzili, że ujrzą tutaj "białą pianę" bevinowska, a tymczasem
obok olbrzymich zniszczeń wojennych - widzą uprzątałe ulice, kar-
sujące tramwaje - wielkie bladeńskie wagony z czernym Gryfem-
herbem miasta, widzą otwarte sklepy, restauracje, ruch na ulicach...
Przejeżdżamy chyba przez całe śródmieście. P, tam jest szeroki pas
zieleni, jakiś park, ogródki działkowe, wiadukt... Zbliża się go-
dzina zachodu, gdy powracamy do śródmieścia. Pięć ulic zbiega się
przy placu wypełnionym gęsto delegacjami młodzieży z całej Polski".
Tyle przybyła z Warszawy. Ale my, mieszkańcy [redacted]

uważamy swoje miasto za jedno z najpiękniejszych nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Szczycimy się jego urbanistyką, podobną do urbanistyki [redacted], stolicy [redacted], cementarzem [redacted] [redacted] co do wielkości w Europie itd., itd.

Naszymi rękami odgruzowane ulice i place tętnią życiem. Ludzi w [redacted] coraz więcej, szczególnie młodzieży. [redacted] to miasto młodych, a więc miasto przyszłości. Już nie ma polskich chorągiewek w oknach prywatnych mieszkań - nie trzeba ich, bo prawie wszystkie mieszkania są już zajęte przez Polaków, a Niemców tylko garstka. Długofalowa akcja wyjazdu do Niemiec zorganizowana przez władze polskie na zasadzie porzucenia - a prowadzona przez Polski Czerwony Krzyż, pozwala tysiącom rodzin niemieckich opuścić ziemię polską w sposób kulturalny, wygodny, i prawie że komfortowy. Związana w tym czasie była pracą społeczną z Zarządzeniem Okręgu PCK i miażmą niejednokrotnie okazję osobiście przekonać się na punktach repatriacyjnych na [redacted], w jakich warunkach wyjeżdżali Niemcy, jak starannie była zorganizowana opieka zdrowotna nad chorymi i starcami. Chwilami aż dziw brak czkowiaka, że w taki sposób odpowiadają Polacy na brutalne i bestialskie wysiedlenia Polaków z Koszalskiego w latach: 1939, 1940, 1941.-

Ale wracam do wspomnień osobistych, do mojej pracy w tym czasie. A była ona, choć nowa, to wcale ciekawa i różnorodna. Zakładałam nie tylko wszelką korespondencję /redagowanie, przepisywanie i wysyłka/ale i wykonywałam wszystkie prace statystyczno-sprawozdawcze, na podstawie materiałów z poszczególnych podinspektoratów OIKD. z wymienionych [redacted] powiatów. Poza tym należało do mnie interweniowanie w różnych urzędach w sprawach placówek podległych naszemu Wydziałowi, względnie w osobistych sprawach kadry pracowniczey /w przeważającej części nauczycieli/. Brałam również udział, nawet dość często w ogólnych naradach w Kuratorium. A nie rzadko trzeba było decydować o sprawach placówek ko w zastępstwie za

wizytatorów, którzy niesporadycznie przemierzali tereny powiatów i "pułtynie kulturalne" zamieniali w swą sieć różnorodnych placówek k/o tężących życiem i pracą.

Były to trudne miesiące. Brak ludzi z wykształceniem dotkliwie dawał się odczuwać w tej pracy posaszkolnej. Często brano do pracy chętnych, ale niewykwalifikowanych pracowników, byle stworzyć świetlicę, stworzyć chór czy teatralny zespół amatorski, albo też kursy dokształcające różnego typu. Odbywało się to nieraz bardzo rydatnie na sprawozdaniach przesyłanych z powiatów do biura naszego Wydziału. Szczególnie jeśli chodzi o prace zespołów artystycznych. I tu okazała się bardzo przydatną moja dotychczasowa praktyka nauczyciela-oświatowca oraz teoretycznie wiadomości zdobyte w szkołach i kursach muzycznych. Pamiętam jeden taki wypadek - w ostatniej chwili z końca roku 1946 nadeszło sprawozdanie z powiatu Bliński, kilkunastu teraźniejszych sprawozdania skierowanego do Ministerstwa Oświaty nie pozwolił nam na wysłanie reklamacji do niektórych powiatów z wykazaniem popełnionych błędów i prośbą o korektę. Trzeba było to zrobić tu na miejscu i to szybko. Okazało się bowiem, że np. w jednym sprawozdaniu podano liczbę 32 chórów w jednej miejscowości, co było oczywiście absurdem, bo był to tylko 1 chór jednogłosowy, złożony z 32 członków - albo w innym sprawozdaniu podano, że są 4-ry chóry /dwa męskie i dwa żeńskie/, co znówu przesłusane na język fachowy znaczyło, że jest jeden chór 4-głosowy mieszany. Zdarzały się i inne mniej ważne pomyłki, które trzeba było korygować, bo w podsumowaniu liczb nie zawsze się wszystko zgadzało. Prócz tego było masę innych trudności, i choć każdy z wizytatorów /a było ich czterech/ sam redagował powizytacyjne notatki i protokoły, to z samą przepisywaniem na maszynie było sporo roboty, nie mówiąc już o rozpisywaniu najprzeróżniejszych okólników i rozporządzeń ministerialnych i masy kuratorskich do podległych nam placówek.

Ze ważnej pamięci pozostają u mnie szczególnie ci pierwsi

dwoje zależe odpowiadało wymogom szkoły, ok. pięcioro było mniej więcej na przeciętym poziomie, a reszta grubo niżej wymaganego minimum. Czyś w takich warunkach nie mogło zagnieść się nawet w najbardziej muzykalnej duszy zniechęcenie? To też po roku takiego męczącego, wyczerpującego zajęcia, a dającego właściwie bardzo mało efektu, zrezygnowałam z pracy w szkole muzycznej.

Rok 1946 odznaczał się poza innymi objawami i tym, że nastąpił rozwój związków zawodowych, a więc między nimi i utworzenie Zarządu Okręgu ZMP, który to związek ma tak bogatą tradycję w walkach o skusane prawa szłowieka pracy.

A więc praca spora i specjalnego poszaku nabiera często wówczas powtarzane powiedzonko - "no trzeba wreszcie trochę pomieszkać u siebie". Rzeczywiście, praca zawodowa, społeczna i polityczna tyle pochłaniała godzin dziennych, wieczornych a nie rzadko i nocnych, że tzw. pomieszkanie w domu trwało zazwyczaj zbyt krótko, ot czasem tylko kilka godzin snu.

W czasie pracy w Wydziale O.I.K.D spotkałam się z takim charakterystycznym dla tych czasów wypadkiem. Było to już pod sam koniec roku. Sprawozdawczość pochłaniała mój czas nawet na nocie domu zabierałam robotę i maszynę do pisania, aby tylko złożyć w terminie. Aż tu nagle, kłopot. Wydział Finansowy, którego wówczas kierownikiem był p. [REDAKTOR], rodem z Poznania - alarmuje, że nie da sam rady wykopediować przed Nowym Rokiem wypłat nauczycielom z tytułu wynagrodzenia za pracę dodatkową w szkołach i na kursach dla dorosłych za czas: wrzesień-grudzień. Było tego ok. 4 miliony zł. dla całego województwa. Jeśli nie będzie grudniowej daty stemplowej to cała suma przepadnie i ci ludzie za swoją pracę nie dostaną ani złotówki. Jedyną radą to natychmiast iść do księgowości i pomóc w wysyłce przelewów bankowych. Nie znałam się kompletnie na tego rodzaju pracy, ale po uzyskaniu najniezbędniejszych wskazówek - wypisałam dziesiątkami przelewy dla 24 powiatów po kilkanaście godzin kma

dobę. Praca ta trwała kilka dni. Nie zwracałam uwagi ani na wysokość gorączki, ani na kaszel, gdyż aktualnie byłam mocno naziębiona. Węgla było mało, mieszkanie obszerne, a odzież licha, bo co było lepszego, dawno poszło za żywność w czasie długotrwałej okupacji.

Dlaczego o tym wspominałam? Bo dziś, kiedy niektórzy ludzie tak sumiennie liczą swoje godziny nasłonecznione - nie do pomyślenia jest sprośność, żeby ktoś mógł mimo choroby poświęcać swój wolny czas na prace służbowe. A przecież w tamtych latach nie byłam wyjątkiem! Było to na porządku dziennym, że ludzie dwóili się i troili, byle tylko wykonać zaplanowaną, a konieczną pracę. I znova muszę tu z naciskiem podkreślić, że nikomu wtedy nawet przez myśl nie przyszło, że za to należy się jakaś nagroda czy wyróżnienie. Po prostu spełniało się tylko obywatelski obowiązek. A przecież też mieliśmy swoje rodziny, swoje kłopoty, swoje marzenia do zrealizowania.

W 1945 roku przyjechała do mnie siostra, duma młodzieżą odciepanie której wojna przeszkodziła w nauce. Warunki okupacyjnego życia nie pozwoliły mi na posyłanie jej na tajne komplety gimnazjalne. Teraz trzeba było nadrobić stracony czas. Potem późną jesienią sprawa- daliśmy staruszkę matkę, która jak mogła tak starała się nas pro- wadzić nasze skromne gospodarstwo, bo nas prawie w domu nie było. Siostra chcąc mi choć trochę pomóc, pracowała najpierw dorywczo w sekretariacie szkoły muzycznej, a potem w Zarządzie Miejskim, a po- południami i wieczorami uczyła się.

Troska o najbliższych obsorbowała mnie bez reszty. Nie mia- ła ani czasu ani siły na to, by pomyśleć o ułożeniu sobie prywat- nego życia. I tak się rozciągało na lata całe, a potem już było za późno, by tworzyć własną rodzinę. Ani już wiek ani zdrowie po tanu. Zresztą ciężkie przeżycia osobiste z lat okupacji wyłobowały tak głębokie bruzdy, że niczym nie dało się ich zapełnić.

Od samego niemal zmyślenia początku brałam żywy udział w przejawach życia polskiego w [REDAKTOWANE], każde wydarzenie czy to kulturalne

czy natury gospodarczej lub politycznej było gorąco w gronie najbliższych moich znajomych omawiane, dyskutowane, a każde osiągnięcie miasta przeżywało się jak swoje własne. Nie wiem czy pamięć, stroi w niecodzienne blaski takie dni pionierskie czy obecny rozmach życia społecznego w naszym kraju stał się chlebem powszednim, a więdca naturalna, co nie dziwi, nie ekscytuje całkowicie, ale wydaje się, że takiego entuzjazmu i zapędu do pracy, jakich byliśmy świadkami w początkach powojennych latach - dziś się już nie obserwuje. Było się wtedy w jakimś gorączkowym tempie, każda godzina liczyła się poświęcane. Może właśnie dlatego tak szybko upłynęło nam to ostatnie świętowanie.

Początkowo port był martwy, zniszczony i wyszabrowany. Ale prawie niepostrzeżenie minął czas, gdy z prasy codziennej dowiadawali się o coraz to nowych osiągnięciach pracowników portowych i Żeglugi Morskiej. Wolałam mój rodzaj pracy w niczym się nie wiązać z pracą portu [redacted] czy stoczni [redacted], to jednak poczuwałam się przynależną do wspólnoty portowego miasta, dla którego też pracowałam. Dlatego każdy wyjazd portowców i marynarzy napędzał nas wszystkich dumą, radością i optymizmem na przyszłość. Pamiętam Święta Morskie w Gdyni w Polsce przedwojennej - to też ze szczególnym wzruszeniem choć miała asystować różnym naszym morskim uroczystościom - a od rybli o 500 km wybrzeża, aż doch zapierało.

A nie zawsze było łatwo w tych czasach. Nawet o spokój wewnętrzny trzeba było walczyć. Bo była propaganda i skłócona plotka co jakiś czas odrywała [redacted] od [redacted], miała niepewność jutro wśród mieszkańców miasta. I na prawdę tak było patrzeć na tych bohaterów którzy w obawie przed nową wojną robili ogromne zapasy z olejem, bułkami, solą, cukrem, czy nawet octem. Bo i potem, po oprzytomieniu, ze wstydem i stratą pieniężną usiłowali pozbyć się uciążliwych zapasów. Czasem było mi ich żal, a czasem po prostu śmiać

ni się owiało na wieck uginających się pod workami suchego, pie-
czywa, z którym daremnie chodzili od sklepu do sklepu, a nawet po
domach prywatnych.

Rok 1946 jeszcze z innego powodu tak bardzo utkwil mi w pa-
męci. Otóż, siostra moja na skutek przeniesienia i niedotrywania
młodego organizmu /jeszcze od czasów wojny/ zapadła na ciężkie za-
palenie nerwu ocznego. Groziła jej całkowita ślepota. A miała wtedy
nie wiele ponad 20 lat. Ogromna nakładem starań i kosztów unieści-
łam ją na okulistycznej klinice krakowskiej, skąd dopiero po kilku
miesiącach intensywnego leczenia mogła wrócić do domu, ale z saka-
sem przeniesienia oczu, szczególnie przy astycznym oświetleniu. Z
munką trzeba było się polegnąć. I tak znova jedno z tych marzeń/by-
dać jej pełne średnie i wyższe wykształcenie/ rozwiało się jak dym
na wietrze. Cieszyłam się jednak że widzi i może jako tako prac-
wać. Choroba jej zaważyła bardzo na moim i tak już nadwątłym
zdrowiu - bo musiałam pracować dodatkowo, aby zrównoważyć budżet
domowy - szarpnięty wydatkami związanymi z jej leczeniem.

Z wiosną 1946 roku ściągaliśmy najstarszego brata, który po
tragicznej śmierci w grudniu 1945 roku średniego brata [REDAKCYJA],
/pierwszego starosty w [REDAKCYJA] / został jedynym męskim opiekunem
naszej małej garstki samotnych kobiet. Zaczął pracować w swoim
fachu jako zootechnik najpierw w Izbie Rolniczej, a potem po reor-
ganizacji w Wydziale Rolnictwa URN, gdzie do dzisiaj pracuje na
stanowisku starszego inspektora produkcji zwierzęcej.

Skrytobójcza śmierć śp. brata [REDAKCYJA] była dla mnie ciężej
i rodzinny i życiowy, bo znova opieka nad siostrą i schorowaną
staruszką matką w zasadzie tylko na mnie spoczywała - a miałam
obiecane pomoc, gdyż brat mój przewodniczył był na zastępcę ówczesne-
go wojewody szczecińskiego od 1 stycznia 1946 roku. Tymczasem zo-
stał zabity podczas Świąt Bożego Narodzenia. Wiem, że wtedy w wielu
rodzinach była żaloba, bo wiele osób ginęło w walce o nowy ład.

Ale najmocniej zawsze uderza człowieka to, co osobiście dotyczy jego.

W sumie jednak bilans tych dwóch pierwszych lat powojennych był dla mnie dodatni. Zadomowiłam się w [REDAKTOWANO], byłam zadowolona z pracy i mieszkania, a i moi najbliżsi znaleźli dla siebie warunki życia, pracy. Czegoś więc więcej od życia wymagać?

KURATOR PUBLICZNA NI ORGANIZOWANIE BIBLIOTEKI POWIATOWEJ

Z końcem roku 1946 otrzymałam propozycję objęcia pracy w bibliotekarstwie powszechnym, którego sieć zaczęła w tym roku powstawać. ówczesnym kierownikiem Referatu Bibliotek przy KOSB był kolega [REDAKTOWANO], który obserwując wykonywanie przez mnie obowiązków, zorientował się, że praca ta, choć robiona z pasją i dobrze, jednak mi nie odpowiada, jak zresztą wszystkie prace typu urzędniczo-administracyjnego. Zaczął więc mnie namawiać do przejścia na pracę organizacyjno-pedagogiczną jaką jest w zasadzie praca z książką i czytelnikiem. Oczywiście miał w tym swój cel. "województwo [REDAKTOWANO] cierpiało wciąż na brak wykwalifikowanych pracowników kulturalno-oświatowych - było bodajże największą "pustynią kulturalną" wśród innych województw. Pozyskanie jak największej ilości odpowiednich ludzi było ambicją, zresztą bardzo szlachetną, każdego naczelnika czy kierownika, a Referat Bibliotek był samodzielną komórką na prawach wydziału w kuratoriacie.

Nie znałam wcale tego rodzaju pracy, ani nie przewidywałam tych trudności, z jakimi potem zetknęłam się, dlatego bardzo chętnie zgodziłam się na poczynione mi propozycje. Być może sam fakt zostania kierownikiem placówki o dość szerokiej misji-gu działania przyczynił się do mojej decyzji.

Była tylko jedna trudność, naczelnik Wydziału O.I.K.D nie chciał zgodzić się na moje zwolnienie. Pertraktacje trwały blisko 5 mie-

siało. Natomiast ówczesny kurator [REDAKTOR] zasycydował i przychylił się do mojej prośby o przeniesienie mnie do Kierownictwa Bibliotek, słusznie, że Wydział O.IK.B już otrzępł organizacyjnie, ziała sprawnie, a organizacja bibliotek, tak ważnych placówek przy samokształceniu i kształceniu, jest zawsze w zarodku.

Tak więc od 1 stycznia 1947 r. powierzono mi osobnym piśmie pełnienie tymczasowo obowiązków kierowniczką Powiatowej Biblioteki w [REDAKTOR]. Aby zaś sprostać stawianym wymaganiom, otrzymałam 3-mio tygodniowe przeszkolenie w [REDAKTOR], organizowane przez Naczelną Dyrekcję Bibliotek w Ministerstwie Oświaty.

Był to okres dość ostrej zimy. Jakkolwiek zajęcia i sam przedmiot wykładów zainteresował mnie, to jednak nadążające siroć nie pozwalało się skupić wyłącznie na przekazywanych treściach, bo i kasał i przesiąknięcie dawały się we znaki. Poza tym intuicyjnie wyczuwałam, że program jest przepełniony teoretycznymi wiadomościami przy skąpym czasie poświęcanym ćwiczeniom praktycznym. Poza tym brak było wyraźnych wskazówek jak zabrać się do organizowania sieci bibliotecznej w powiecie w codziennych naszych warunkach, szczególnie trudnych tu na P. morzu "achodnia.

Owszem, stawiano bardzo wysokie wymagania bibliotece powiatowej, ale konkretnie, jak ma się ona wywiązać z założonych na siebie obowiązków - niestety, na to nie dane recepty. Po prostu odano się na wysuwanie, intuicję i energię poszczególnych osób.

Wrócić ma więc do szczegółów nakładowa różnorodnym materiałem teoretycznym i stanąkam od razu wobec najprzeróżniejszych trudności gospodarczo-organizacyjnych. Wydzielono mi mały pokójek w dużym gmachu Biblioteki Miejskiej przy ul. [REDAKTOR] - i kazano działać. Ale jak ? Z jakim zapleczem finansowym ? Nie bardzo wiedziałam. I choć sympatyczny kolega [REDAKTOR], pierwszy dyrektor BM okazał dużo serdecznej łyczliwości, to nie wiele mi pomóc mógł, bo sam się borykał z wieloma problemami, którym mogłam podać

energiczna, skonsolidowana w swej pracy grupa osób fachowo przygotowanych, a nie jednostka, choćby najbardziej poświęcająca się.

Chciałam więc, co mogłam, ale nie udało mi to żadnej satysfakcji, tym bardziej, że wisiała nade mną szara tylnoscia, bo tylko na rok oddelegowano mnie do tej pracy.

Wprawdzie zdobyłam się na jakieś nawet bardzo efektywne i atrakcyjne propagowanie czytelnictwa w powiecie, połączone z imprezami audio-wizualnymi na ruchomej wystawie książkowej w aucie ciężarowym, ale to była według mnie partyzantka kulturalna, a nie spokojny, systematyczny bieg prac organizacyjnych i metodyczno-dydaktycznych.

Konradto, co tu ukrywać, wciąż mi się marzyło śpiewanie, praca wychowawcza z młodzieżą i do niej się skrycie serce moje wyrwało. Tak, że gdy skończył się mój okres delegacji - odetchnęłam z ulgą, że mam to już poza sobą, a żyłam, że i mój kierownik z Referatu Bibliotek w Kuratorium również z ulgą rozstał się ze mną.

Tak to mi obopólnemu zadowoleniu składały się moje pierwsze zetknięcia się z problematyką biblioteczną. Nie przypuszczałam wówczas, że za parę lat praca ta stanie się moją drugą zawodem i że przyjdzie czas, gdy powstaną trudne decyzje studiów wyższych w tym kierunku. Wciąż jeszcze marzyło mi się ukończenie ukończonej muzykologii.

POZNIJSZE STAFY ŻYCIA I PRACY W LATACH 1948 - 1961

Moja impulsywna natura, reagująca bardzo żywo na wszelkie zjawiska zewnętrzne, nie pozwoliła mi na zaszykanie się w sobie. To też nie dziwnego, że wszyscy znajomi dookoła wiedzieli o moich nie spełnionych pragnieniach dokonania studiów muzycznych i głębokim uniżowaniu przedmiotów traktujących o zagadnieniach z tego zakresu. A jeśli do tego dodać rzeczywiście ładny głos, absolutny słuch i umiejętność czytania nut głosem to z całą odpowiedzialnością za swe słowa, mogę przynajmniej, że odpowiadałam wszelkim

warunkom, jakie stawia się nauczycielom śpiewu.

Nie wskazywała mię też, ani nie doświadcza proponowała ówczesnego kuratora, ob. [REDAKTOWANE], by objął obowiązki nauczania śpiewu i uszeregowania w Państwowym Liceum Pedagogicznym w [REDAKTOWANE] [REDAKTOWANE], gdzie chwilowo brak było odpowiedniej osoby do prowadzenia tego przedmiotu.

Jeżeli miała jakikolwiek obiekcje, to tylko natury moralnej, gdyż brak ukończenia studiów muzycznych, brak odpowiedniego dowodu uprawniającego mnie do zajęcia stanowiska nauczyciela szkoły średnie - wstrzymywały mnie od wyrażenia zgody. Pomyślałam bardzo myślı że znajdę się wśród w gronie profesorów na prawach intrusa. Myślałam kategoriami wymagań przedwojennych. Nie sławkałam sobie z tego sprawy że ogromne luki w szeregach pracowników kulturalno-oświatowych wymagają natychmiastowego uzupełnienia, bez względu na pełne czy niepełne wykształcenie. I kiedy o tych sprawach dowiedziałam się w Wojewódzkiej Komisji Szk., do którego to Stronnictwa zapisałam się, jeszcze w okresie pracy w Kuratorium - przedstawiłam się, opierałam i opędziłam się na propozycję ob. [REDAKTOWANE].

Zaczęłam więc pracować w [REDAKTOWANE] Liceum Pedagogicznym przy ul. [REDAKTOWANE] /numeru już nie pamiętam/ na tzw. "górze". Od razu stałam sobie sprawę z trudności. Po pierwsze, trzeba było natychmiast gruntownie odświeżyć swój zapas wiadomości teoretycznych z zakresu zasad i historii muzyki - po drugie, dostosować wiadomości do programu liceum z uwzględnieniem zasad dydaktyki i pedagogiki szkolnej, no i po trzecie, bardzo sumiennie i drobiazgowo przygotowywać się na każdą lekcję, by zawsze wiedzieć o wiele więcej od ucni, co przy niskim poziomie ich wiadomości, nie było rzecz jasną zbyt trudną.

Zakres moich obowiązków był dość obszerny i w chwili ich objęcia nie wiedziałam jeszcze o tym, że pozostałości potyfusowe zrobiły ogromną wyrwę w organizmie, a zaburzone gospodarstwo /cał-

dzienna praca bez wytchnienia/ może się odbić fatalnie na jego stanie sirowotnym.

A zajęcia miała sporą; lekcje szkolne, organizację chóru, takie same zajęcia + lekcje metodyki nauczania śpiewu w liceum wieczorowym dla czynnych niekwalifikowanych nauczycieli a. [REDACTED], co niedzielne zajęcia tego typu w komisji rejonowej dla nauczycieli z kilku powiatów.

Były to bardzo wytężone, pracowite, ale i piękne, niezapomniane dni, tygodnie, miesiące, kiedy odzwiercałam dogłębnie swoją użyteczność i przydatność w społeczeństwie. Praca ta, choć podkopywała moje sirowie, radowała mnie, sprawiała mi zadowolenie i pełną satysfakcję. Pewnym tego może być fakt, że gdy poważnie zachorowałam i zostałam poddana szpitalnemu leczeniu, to po tygodniu leczenia, jak tylko ustąpiły ostre ataki bólu - wyrzekałam się lekarstwa spod opieki i wróciłam do utraconej pracy.

Pracowałam wiele godzin wypracowałam na zadane tematy z historii muzyki, szczególnie polskiej, a i ortografia posostawiała też dużo do życzenia, mimo to chętnie pomagałam, opracowując doraźnie kompedi /materiały powielane/ z muzykologii, bo widziałam u tych ludzi taki zapal do nauki i chęć zdobycia dyplomu maturalnego, choćby kosztował sirowia. Ceniona przede wszystkim poważny stosunek do nauki, pracy i odpowiedzialność za nie, co nie zawsze można dziś zaobserwować u młodzieży, przyzwyczajonej do tego, że zapewniając jej maksymalnie dobre warunki do nauki, równocześnie usuwa się z jej dróg wszelkie trudności.

Moim zdaniem ówczesna młodzież była daleko dojrzalsza i nader rzadkim zjawiskiem było tzw. "dzieci urodzone w niedzielę".

Razem, tam również naturę w tej szkole. Absolwenci mieli zasilać oczywiście nauczycielskie kadry wsi i miasteczek województwa szlubińskiego. A każdy z nich na swoim terenie musiał być alfa i omegą, to też musiał znać się prawie na wszystkim. Stąd też wielką wagę

przekładano do wykształcenia muzycznego, bo to i śpiew w szkole trzeba prowadzić i jaki taki chór zorganizować, a niezależnie od tego prace pozaszkolną trzeba się parć. A więc amatorski zespół artystyczny zorganizować, kursy dla amfifabetów itd. itd. Dlatego bardzo starannie przygotowałam materiał egzaminacyjny, w którym starałam się umieścić wszystkiego po trochu z obecnej wiedzy dzisiejszej o muzyce. Zdawało mi się, że zbyt wielkich wymagań nie stawiam. Jakies było moje zdziwienie, kiedy usłyszałam od ob. [REDAKTOR] takie oto słowa - "Nawet ja a pani Koleżanko - nie znałbym natury ze śpiewu, a to są przeważnie chóropcy a lazu, którym i tak było bardzo trudno nagiąć się do rygoru i wymagań szkoły. Proszę ob. iść trochę pozycja pytań egzaminacyjnych bo dużo sądzić pustych w województwie czeka na nich. A to usamiatnienie usupelniać im potem na specjalnych kursach dokształcających". Cóż miałam robić? Szybko, tuż prawie przed egzaminem zamorizowałam paski papieru z pytaniami do losowania, oczywiście formułując je jak najprościej i o zasadniczych podstawowych elementach. Naturalnie w liceum wieczorowym robiłam to samo.

Praca ta była chyba dla mnie najcięższą w życiu. Choćkolwiek potem robiłam, z większym lub mniejszym zaangażowaniem, to jednak serce zawsze zostawało przy tych dwóch latach, kiedy uczyłam śpiewu. Bo tak się złożyło, że w następnym roku szkolnym zaproponowano mi przejście do liceum [REDAKTOR], pierwszej szkoły tego typu w [REDAKTOR], a może nawet i w całym województwie.

Zarząd Główny PZD w Warszawie rozpoczął zakładać swoje placówki oświatowe na Ziemiach Zachodnich i jedną z pierwszych było właśnie organizujące się liceum ogólnokształcące połączone z szkołą podstawową, tzw. jedenastolatka. Grono pedagogiczne takiej szkoły otrzymywało specjalny dodatek, co z wyższą siatką płacy niż w innych szkołach było sumą nie do pogarzenia. A, że ciągle jeszcze miałam na utrzymaniu matkę i siostrę, która zarabiała bardzo nie-

wiele, więc nawet nie namyślałam się i po pracowitym czasie wakacyjnym/prowadzenie zajęć świetlicowych na karecie nauczycielskiej/ przeszedłam do szkoły WPS-owskiej jako nauczyciel śpiewu w klasach od 3- do 11-tej z obowiązkiem zorganizowania dwóch chórów szkolnych tj. dziecięcego i młodzieżowego.

Chciał mi być opuszczona Liceum Pedagogiczne, w którym charakter pracy odpowiadał mi najbardziej, ale względy rodzinne przesunęły się na to, by zdobyć więcej grosza na zagospodarowanie się w [REDAKTOWANO] [REDAKTOWANO], tym bardziej, iż wytknięta się kwestia zamążpójścia siostry i trzeba było pomóc młodemu w urządzeniu się.

Pracowałam jeszcze w Liceum, gdy ta uroczystość rodzinna odbyła się. Siostra wyszła za mąż za styjecznego brata swoich znajomych, którzy ścignęli mnie do [REDAKTOWANO]. Oboje z bratem dotoczyliśmy wszelkimi staraniami, by ta najjaśniejsza z nas nie odczekała, że to zaledwie trzy lata po wojnie, ale żeby przeżyła najważniejszy swój dzień w życiu jak najpiękniej.

Pracy i kłopotów rodzinnych miałam tak wiele, że nawet czasu mi nie starczyło w dalszym ciągu na spotkanie własnej rodziny i ani się nie spotrzymyłam, że już na kurku mam dobrze oszronioną głowę. Trochę o innych przeszedłam u mnie w przywykajenie i tak to zostało do dzisiaj!

Wracam znów myślenia do przełomowego roku w moim życiu tj. do lat 1948/49.

Nauczanie w nowo organizującej się szkole było bardzo wyczerpujące - prawie cały dzień przebywałam wówczas w szkole, a często nocną godziną wracałam z niej. O smutku takim trybem życia nawet nie trzeba wspominać - rozumie się samo przez się. Oprócz głównego przedmiotu nauczania założyłam i prowadziłam dużą bibliotekę szkolną z czytelnią, czasopism o szerokiej asortymencie tytułów.

Materiał młodzieżowy był bardzo podatny i wciągany. Nie waham się wcale powiedzieć, że była to młodzież wspaniała! Tak

ofiarno, tak bogata w rośnorodną, własną; artystyczną, że aż podziw brał cała szkoła, skąd się u tych dzieci prawie biorze tyle entuzjazmu i zapędu. Bez drgania jajiejkołeciek niechciał potrafiła ona przebywać na próbach do późnych nocnych godzin, jeśli tego wymagała potrzeba chwili. A przy tym była to młodzież solidna, koleżeńska, jedyną słowem - jakbyśmy to dziś określili - wysoce uspołeczniona, choć jej tego nikt nie uczył. To też na katedrach okolicznościowych zbierała zasłużone oklaski i słowa uznania za swą pracę i postawę. Oddawałam tej młodzieży wszystkie swe siły, talent i doświadczenie pedagogiczne, nie licząc się wcale z zasobem sił fizycznych.

I tak po roku wytężonej pracy dowiedziałam się nagle, że w dowód uznania dla całokształtu pracy naszej szkoły jest ona wytypowana w nagrodę jako jedna z trzech szkół w Polsce na 2 tygodniowy pobyt w Czechosłowacji. Aby godnie wystąpić z 30-osobową grupą przewodników nauki przed sąsiadami z Południa, należało stworzyć z niej zgrany zespół artystyczny wokalnie-taneczno-recytatorski na specjalnym obozie szkoleniowym w Dziwnowie w czasie 3-miu tygodni wakacyjnych, gdyż w ostatnich dniach sierpnia ma nastąpić wyjazd.

Wprawdzie w grupie tej była część młodzieży z którą tak intensywnie pracowałam w ciągu roku szkolnego, ale była też spora garść surowego materiału pod względem umiejętności artystycznych.

I znowu zaczęła się - "harówka" - całodzienna chęć w bardzo odmiennym plenerze, bo wśród słońca, piasków, morskich fal /ćwiczenia odbywały się na wolnym powietrzu/.

Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że już ~~zaczęła~~ gonić reakcją się, że tylko napięcie nerwowe stwarza złudne pozory zdrowia. Wszelkim nam przecież zależało bardzo na tym, by zespół dał spektakle artystyczne możliwie na jak najwyższym poziomie. Komitet Rodzicielski i Dyrekcja Szkoły licytowały się wprost wzajemnie w wydatkowaniu na zaprojektowane przez mnie kostiumy do wizualki tańców ludowych, wchodzących w skład programu imprezy.

A trzeba pamiętać, że był to dopiero 1949 rok, a więc 4-ty lata załedwie po wojnie. Amatorski masowy ruch artystyczny był załedwie w zarodku. Nie było tak jak dziś zespołów pisańi i tańca, festiwalu, konkursów itp. imprez masowych, które dziś są dla młodzieży chlebem powszednim.

Wśród trzech szkół ogólnokształcących na terenie [redacted] bardzo mocny zespół wokalnolano-taneczny mianu tw. Liceum [redacted] Tymczasem właśnie my zostaliśmy w ten sposób wyróżnieni. To zobowiązało do nadludzkiej wprost wysiłku włożonych w przygotowanie programu.

Młodzież okazała się godną tego wyróżnienia. Dała ze siebie wszystko, co mogła w tych warunkach dać i na co jej siły i zdolności pozwoliły.

Naturalnie ćwiczenia szkoleniowe na obozie w Dziwnowie odbywały się pod argusewym wachlekiem bardzo wymagającego, dziś już nieżyjącego dyrektora ob. [redacted]. Jakkolwiek był to człowiek porywczy, każdy natychmiastowych efektów tej artystycznej pracy, powodowany w tym nadmierną ambicją, to jednak z całą obiektywnością muszę sprawiędliwie przyznać, że bardzo się starał, by dać tej grupie młodzieży jak najlepszą i najbogatniejszą oprawę kostiumologiczną. Na to nie szczędził sił ani finansów, aby wszystko było w jak najlepszym gatunku. Oprawą muzyczną była nieodłączana "harnoczka" niezawodna na takie wędrownie okazje.

Pobyt na tej wyjeździe wywarł na nas wszystkich niezatarte wrażenie. Nasz dzie witalni serdecznie i entuzjastycznie przyjął, byliśmy przedmiotem szczególniejszej troski naszych szeskich gospodarzy z Ministerstwa Skolciw/ odpowiednik naszego Ministerstwa Oświaty/.

Również też wspomnienia było dla nas uroczyste przyjęcie w ambasadzie polskiej w Pradze, gdzie podejmasz nas ówczesny ambasador PRL [redacted], były wojewoda szeski, który wśród

naszych wyznawców witał szczególnie serdecznie synów i córki swoich byłych towarzyszy broni z okresu wojny.

I byłaby to dwutygodniowa wycieczka prawdziwą sielanką, gdyby nie...

Właśnie, gdyby nie moje zachorowanie jeszcze w Pradze na zapalenie woreczka żółciowego z przyległościami. To, prądotwórczą kroplą, która przelała się przez brzozi dzban - była solidna porcja lodów, którą niepotrzebnie zjadłam, bo gorąco był okrutny, choć to już wrzesień oderczył się na drugą połowę. Wspominam te chwile i - z łaską tękną w oku - i ze zgrozą. Bo ataki były za atakami - zawołani do mnie lekarze, orzekli, że muszę wiaść mnie do szpitala na przebadanie, co najmniej na dwa tygodnie. Byłoby to prawdziwą dla nas tragedią. A więc: przerwanie objazdu Czech, Słowacji i Noraw i występów, zatrzymanie całej grupy młodzieży, którą miałam na zbiorowym pasporcie w gmachu ambasady tak długo, dopóki nie zebrałaby się do dalszej podróży, ewentualnie wysłanie tejże części młodzieży z moim pasportem i specjalnym wysłannikiem z ambasady do granicy, a mnie umieścić by trzeba było w ambasadzie, tym skrawku ojczyznej ziemi i znaleźć opiekę lekarzom z miasta. Było jeszcze co prawda jedno wyjście z tego impasu, to znaczy - odbywać w dalszym ciągu zaplanowaną wycieczkę, ze mną chorą, ale upartą. Ale nikt wiedząc mnie silną i mdlejącą w chwilach wielkiego bólu - nie chciał wierzyć, że potrafię zdobyć się na taki wysiłek.

I znów powtórzyły się koszarne dni z 1945 roku, z tą różnicą że byłam na obcej ziemi, w podróży i miałam pod opieką młodzież, która w dalszym ciągu występowała przy każdej okazji z całym programem, w którym miałam dyrygować 4-ty głosowym chórem nieczynnym.

Nikt ani ja do dziś - nie wiedzieliśmy skąd brałam siły aby w ten sposób dotrzeć do końca i szczególnie przewidzieć powierzoną nam młodzież przez Granicę - wrócić do [REDACTED]. Wrócić cały czas byłam na bardzo ścisłej diecie i środkach narkotycznych, które

chwilem tłumaczy taki ból. Być może, że nie przeżywałabym tego ciężkiego dla mnie okresu /ponad tydzień czasu/, gdyby nie ogromny wysiłek koleżanki, która była kierowniczką wycieczki i bardzo dyscyplinowana postawa całej grupy młodzieżowej, która w ogólniejszym oku wykonywała wszystkie polecenia i otaczała mnie tak troskliwą opieką, że do dziś jeszcze myślę o niej z podziwem i szacunkiem. Każde z nas myślało tylko o tym, żeby dostać się do kraju.

Tymczasem po powrocie do [REDAKTOR] zaczęła dziwna historia. Dyrektor nie uwierzył w chorobę, uważał, że powinnaś dać uroczysty występ-koncert w salach M.M. dla szerszej publiczności, bo fama z zagranicy donosiła, o pięknych programie, o naszych sukcesach. Dyrektor chciał się pochwalić, a ja nie byłam zdolna do tego, że ostentacyjnie się przywlokłam się do Polski. Się w międzyczasie za karę przeniesiono mnie do pracy w jednej ze szkół podstawowych, ale namac pozostał na papierze, że nie byłam zdolna do żadnej pracy i tak minęły prawie dwa miesiące leczenia w domu w coraz gorszym ataku odle. W tym okresie spotkałam mnie ciężki cios - straciłam tragicznie matkę, starszą, którą tak chroniłam w okresie okupacji, poświęcając swoje prywatne życie. Minęło tyle już lat od tamtych szarych dni, ale i dziś nie mogę o tym ani mówić, ani pisać spokojnie, dlatego omiłam szczegóły tego zajęcia. Było to już ponad moje siły, zaraz po pogrzebie znalazłam się w szpitalu i nowu na [REDAKTOR], tym razem na oddziale chorób wewnętrznych. Przebywałam tam do końca 1949 roku.

Po wyjściu ze szpitala i opinii komisji lekarskiej musiałam raz na zawsze pożegnać się z unizowanym zawodem. Organizm był tak wycieńczony, że właściwie /według rad lekarzy/ należałoby z rok czasu odpocząć, wzmacnić go i przestawić całe swoje dotychczasowe życie na zupełnie inne tory. Ale z czego tyć? Nie chciałam być nikomu ciężarowa, ani rodzinie, ani społeczeństwu!

Miałam dużo znajomych i nawet o tym nie wiedząc, bardzo dużo

przejściu. Byli ludzie, którzy od początku obserwowali moją pracę w [redacted] i ci mnie podtrzymywali na duchu, nie pozwoliili zaha-
mać się i pomogli. Nie łatwo było mi w 39 roku życia zmienić zawód
A jednak zdobyłam się na to. Przeszłam do pracy bibliotekarskiej
z dniami 1 stycznia 1950 roku.

Jest to zwrotna data. Pogrzebałam musielaam bezapelacyjnie żyć
o studiach muzycznych i w ogóle o pracy nauczycielskiej, do której
już nie byłam zdolna.

Chcąc i osłabiona przedstawiłam się dyrektorce Biblioteki
Miejskiej w [redacted], mgr [redacted]. Wiedziała już
o mnie wszystko. Przyjęła bardzo serdecznie i sarkająco tu podie-
szanie, że odwrotnie. Bo czyż nie odwagą było przyjąć nowego pracow-
nika, który bardziej nadawał się do sanatorium niż do pracy będąc
co bądź ciężkiej i wymagającej nieraz i wysiłku fizycznego. A je-
dnak z łyczliwym i serdecznym uśmiechem przyjęła mnie.

I nie wiem, czy właśnie to jej tak humanitarne podejście
wpłynęło na mnie, czy sam fakt, że będę pracować i zarabiać sama
na siebie, ale od tej chwili poczułam się rześniej na duchu i z wię-
kszą otuchą zacząłam patrzeć w przyszłość.

Nieocenione usługi w tym ciężkim okresie oddał mi Kol. [redacted]
[redacted], który właśnie załatwił mi pracę w Bibliotece Miejskiej.

Z przejściem do Biblioteki Miejskiej zaczął się nowy okres
meego życia. Bardzo poważnie podeszłam do zagadnień pracy z książką
i czytelnikiem. Życzyłam sobie, że muszę zdobyć najwyższą sprawność
w nowym zawodzie. Subtelna i uniejętna opiekunka pani dyrektor spra-
wiła, że zostałam otoczona atmosferą łyczliwości i przyjaźni, co
przy moich ostatnich przejściach, chorobach i zmartwiezeniach było
jakby gojącym balsamem.

Z wielką siłą woli zastosowałam się do wskazówek lekarzy
i w ciągu kilku dobrych lat utrzymywałam ścisłą dietę, regulując
ją stopniowo w miarę odzyskiwania sił.

Co robiłam w tej bibliotece ?

Otóż na początek, aby sbytnie mnie nie przeciętać - dano mi cały, osobny pokój i cały stos książek do selekcji. Jak wiemy, Biblioteka Miejska posiada ogromne zbiory polonistyczne ale polski księgozbiór zaczynał się od 15-tki książek 1949 roku. Wzrost dary i zakupy prowadzone od kilku lat spowodowały, że najpilniejsze bieżące potrzeby czytelnicze mieszkańców naszego miasta zostały w pewnym stopniu zaspokojone. Ale dary były różne. Właśnie na tym polegała moja rola, że musiałam je bardzo dokładnie wertować i decydować, która z książek pójdzie na półki, do czytelników, która jako prohibity do rezerwy, a która na makulaturę, bo i takie się zdarzały. A więc, czytałam, czytałam po kilka godzin dziennie przez kilka miesięcy. Chyba to trwało do jesieni.

Zaczęłam też żyć życiem zakładu. Na bieżąco śledziłam jego rozwój, borykanie się dyrekcji i personelu z licznymi trudnościami i kłopotami. Boć wszystko było tak jak i gdzieś indziej w stadium organizacji i dynamicznego rozwoju.

Cieszyłam się, jeżeli mogłam w czymś pomóc, poradzić, czy interweniować u znajomych z pionierskich jeszcze czasów. Wciągnęłam się również w pracę społeczną w nowo utworzonym Związku Bibliotekarzy a Archiwistów Polskich, bo Biblioteka Miejska była siedzibą jego władz okręgowych. Tak się stało, że jeszcze w 1950 roku zostałam wybrana sekretarzem Zarządu Okręgu i pełniłam te obowiązki potem bez przerwy przez 5 lat tj. do czasu, kiedy rozstałam się z Biblioteką Miejską.

Dziś, gdy wracam pamięcią do tych lat, to przede wszystkim myśl moja zatrzymuje się na kilku problemach. Ma to swoje uzasadnienie i w dalszych moich losach. A więc - charakter pracy, stosunek do władz i koleżeństwa, równoległa absorbująca praca kulturalno-oświatowa, pochłaniająca prawie cały mój wolny czas, a wiążąca się z innymi zainteresowaniami oraz narastająca z dnia na dzień

niechęć do roli - "omnibusu do wszystkiego".-

Początkowo nawet nie zdawała sobie o tego sprawy. Wszystkie małe cieszyło. Czuli, że jestem ludzkiem potrzebna, a to było najważniejsze.

Od jesieni przeszedła do innego działu - muzycznego, którego została jedynocobowym kierownikiem. Wtedy szumnie się to tak nazywało, ale w rzeczywistości była to tylko wypracowania poniedziałkowych nót. Ponieważ zbiór poważy, więc miał osobne poniedziałki. Korzystającymi z moich usług byli: uczniowie obu szkół muzycznych, muzycy z radia i filharmonii, prywatne osoby, lub małe kameralne zespoły muzyczne. Mimo pracy w tym dziale, miałam dodatkowe zajęcia jeśli chodzi o rozwój czytelnictwa w mieście.

Dyrektor mgr [REDAKTOR] miała ten dobry zwyczaj w zarządzaniu biblioteką, że wszystkie ważniejsze sprawy i decyzje dotyczące organizacji pracy podejmowała po zasięgnięciu rady i opinii szerszego grona pracowników. W tym w dość oszczędnych lecz krótkich naradach brałam udział, tak, że całkiem stała się, jak się mówiło, biblioteka Miejska nieodłącznym elementem "ryzy", nie był mi obojętne. Przeważnie do sporej części zagadnień, które były realizowane przez naszą bibliotekę, przyczyniałam się swoją skromną osobą.

Brałam czynny udział w licznych imprezach czytelnickich typu masowego, byłam prelegentką dla pobożnych w Komisjach Rejonowych, śledziłam wyniki prac koleżanek organizujących punkty czytelnictwa w zakładach pracy /np. w Straży Pożarnej/. Zajmowałam niestety nieraz sporo czasu poza normalnym tokiem zajęć. Miarą uznania dla mojej pracy były liczne nagrody, dyplomy, wyróżnienia i przeszerogowania. A mimo to reprezentowałam się z sztywną kolektywem koleżeńskim po pięciu latach tak owocnej pracy. Błazego ?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy się cofnąć do początków mojej pracy w tej instytucji. Stare porzekadło ludowe powiada: "natura ciągnie wilka do lasu". I chyba to prawda

Skoro poczulaś się tylko nieco słabsza, skoro minęły osłabienie organizmu, bezsenność i bóle - zaczęłaś mi się marzyć połączenie politycznego z pięknem czyli zawodowej pracy z dawnymi zajęciami wokalnie-muzycznymi, tym bardziej, że pianino w dziale muzycznym aż się prosiło, aby je lepiej wykorzystać.

Bo i nadarzyła się ku temu okazja. Kasia szanująca się dyrekcja zakładu miała sobie za punkt honoru organizowanie akademii okolicznościowych, a ambicją naszej było, by to robić własnymi siłami.

Podano mi myśl utworzenia małego zespołu artystycznego: wokalnie-recytatorskiego, który obsługiwałby nasze wewnętrzne uroczystości.

Oczywiście chętnych wśród moich młodych koleżanek nie brakło. I w niedługim czasie zamontowałaś 2 zespoły: recytatorski i tercet żeński oraz 2 solistki. Zaczęły się intensywne próby pod moim kierownictwem. Do mnie należało: dobór repertuaru, dostosowanie go do możliwości wykonawczych koleżanek. W razie potrzeby przerabiałam melodie jednogłosowe na tercet, którym sprostą akompaniowałam.

I tak to się zaczęło. Nie przewidziałam wówczas następstwa swego nierozważnego kroku. Bo po kilku utanych występach zaczęło mówić o nas na mieście. Coś nowego - zespół bibliotekarek - pewna rewelacja! A że w tym czasie jeszcze stosunkowo mało było tego rodzaju grup artystycznych w [REDAKTOR], a te które istniały, nie zawsze były na odpowiednio dobrym poziomie, to też wkrótce nasz skromny zespół stał się znany. Miarą naszej popularności były coraz częstsze zaproszenia [REDAKTOR] zakładów pracy na tan. części artystyczne różnych akademii i okolicznościowych uroczystości. A że do tego sama zwykle pisałam konferansjejkę łączącą zgrabnie całość programu - więc i pod tym względem nie byłam od nikogo zależna.

Tak się zaczęła nasza nadprogramowa praca kulturalno-artystyczna, która z jednej strony przynosiła dużo radosnej satysfakcji

a drugiej zaś strony przyczyniła nie mało kłopotów. Bywały fatalne dni, kiedy nasilenie "naszej produkcji" przybierało wręcz niepokojące objawy. Np. w ciągu jednego dnia, od rana do wieczora trzeba było odwiedzić 4 lub 5 akademii w różnych punktach rozległego [redacted] [redacted]. W dodatku instrumenty w różnych zakładach pracy pod względem technicznym pozostawały wiele do życzenia. Niestety nie było na to czasu, by przetestować stan instrumentu, co w praktyce kosztowało nieraz dużo smartwiedzi i nerwów, bo albo rozstrojony był podział siary, albo klawisze nie odpowiadały w akordach czy trylach. Całe szczęście, że śpiewające koleżanki o dobrym słuchu i przygotowaniu nie zwracały uwagi na takie "drobiazgi" i taki kłócki klawi-kord nie zbijał je z pantofelka. Jednakże takie niespodzianki nie wpływały dodatnio na stan moich nerwów - a byłam bezradna.

Szczytem wszystkiego była arbitralna decyzja władz związkowych, które z całym uznaniem zaakceptowały sobie nasz zespół, dowolnie nim dysponując, a mnie salicyły do grona swoich instruktorów k.o. - tak, że w razie doraźnej potrzeby przeprowadzaniem szkoleń na seminariach i krótkotrwałych kursach lub - jak się to u nas potocznie mówiło - szlifowania zespoły z terenu województwa do eliminacyjnych występów, co połączone nieraz było z kilkudniową moją nieobecnością w mieście.

W rezultacie za mało czułam się bibliotekarką, a za dużo pracowniczką związkową, nastawioną na społeczną robotę. Męczyła mnie taka sytuacja i doprowadziła do zniechęcenia. Na nic nie miałam czasu - ciągle występy, próby, przygotowania materiału w domu, do tego praca społeczna w Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich, Liście Kobiet i od czasu do czasu wyjazdy z prelekcjami natury politycznej z ramienia ZSL. I tak w kółko jak rok długi. Wewnętrzny bunt narastał przeciw takiemu trybowi życia. Z niepokojem śledziłam u siebie jakieś spływanie myślowe, brak było czasu na głębsze przeanalizowanie zagadnień, było się sloganami i iluzją tzw. dobrej

roboty.

[REDAKCYJNA] tymczasem rósł i piękniał oraz prężniał kulturalnie, ale ja "wyrobnik na niwie artystycznej" nie miałam czasu na czynne branie udziału w takim życiu miasta, miasta moich pierwszych pionierskich marszów o doskonalenia się w kierunku zainteresowań z lat młodości.

Decydowałam się bardzo szybko na propozycję poczynioną mi przez Zarząd i Kierownictwo Klubu i "Nacjonalizacji Techniki Budownictwa, abym objęła obowiązki sekretarki Klubu i biblioteki /w jednym etapie/. Obiecywano mi spokojną, nie męczącą pracę, co w porównaniu ze zbyt ruchliwym trybem życia w Bibliotece Miejskiej wydawało mi się rajskim wytchnieniem. Wprawdzie praca popołudniowa i wieczorna nie wykazywała bardzo mi odpowiadała, ale inne atrybuty jej przemawiały za moją decyzją.

Skorzystałam z nadarzającej się okazji reorganizacji Biblioteki Miejskiej, która łączyła się z Wojewódzką, co połączone było ze zmianą dykcji i uzyskałam zwolnienia oraz przejście do pracy w Klubie R. i T.B.

Widziałam siebie z tego sprawę, że popełniłam zasadniczy błąd, ale wtedy mimo próśb/dyr. [REDAKCYJNA] / moich dobrych znajomych, bym została nadal na dawnym miejscu, mimo obietnic, że praca inaczej będzie potraktowana, że będę tylko bibliotekarką, a nie instruktorką k.o. związków zawodowych, nie dałam się przekonać i z dniem 1 grudnia 1955 roku objęłam nowe obowiązki.

Tak zwykle bywa, że w nowym miejscu pracy wszystko wydaje się lepsze, bardziej interesujące, ciekawsze, słowem inne. Rodzaj pracy był diametralny od poprzednich wszystkich jej rodzajów. A więc; do obowiązków moich należały wszystkie codzienne normalne zajęcia w prowadzeniu sekretariatu Klubu. Ale nie tylko - w dalszej perspektywie czasu okazało się, że prócz notowania i redagowania protokołów rozlicznych narad i sebrań oraz prowadzenia korespondencji

klubowej na bieżąco, należały jeszcze do mnie cała praca - nawiązywać to - maszynopisarska. Przepisywałam więc oprócz pism biurowych, techniczne opinie inżynierów z poszczególnych specjalności budownictwa lądowego i morskiego odnośnie wniosków racjonalizatorskich oraz różnego rodzaju orzeczenia Komisji Rzeczoznawców Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa, który przejął potem patronat nad klubem. Niezależnie od tego byłam także kierowniczką biblioteki klubowej, w której całokształt prac technicznych i usługowych należał do mnie wraz z ewidencją i prowadzeniem czytelników czasopism. Asortyment tej ostatniej posiadał kilkudziesiąt tytułów, tak krajowych jak i zagranicznych. Tematyka zbiorów ogniskowała się w zasadzie około techniki, ale wcale pokalnie przedstawiały się problemy ekonomiczne, matematyczne, fizyczne, urbanistyczne i architektoniczne. Nie obce też były zagadnienia dotyczące organizacji przedsiębiorstwa i rzemiosła. A że dawałam sobie jakoś radę z całym wachlarzem obowiązków, to też w dowód uznania dorzucono mi jeszcze opiekę nad mieniem Klubu, co pociągało za sobą miesięczne sprawozdania ze stanu ruchomości do działu gospodarczego nacierzystego przedsiębiorstwa /przed oddaniem Klubu pod zarządek PEIIB/. Ponadto miałam obowiązki pracownika k.o. Myślę, że to chyba wystarczało jak na jedną osobę.

Nimio wszystko z ochotą spełniamam swoje rozliczne obowiązki nieraz podczas 12-godzinnego dnia pracy - widocznie taki to mój pech życiowy. I nie wierz ta człowieku w przesnaczenie!!!

Gdziekolwiek poszłam pracować zawsze zahaczałam o swój wolny czas. Bo też własne prywatne życie musiało być ograniczone do minimum. A poza tym, siostra miała małe dziecko /2/ i trzeba było i jej pomóc w wychowaniu tego drobiazgu.

I było mi bardzo dobrze w Klubie, w którym przepracowałam całkiem 3 lata swojego życia, nim, że zaraz na początku sprawiłam swym zwierzchnikom sporo kłopotu, a przede wszystkim kierownikowi

ob. [REDAKTOWANE], który z konieczności musiał dodatkowo mnie zastępować. W tym miejscu chciałabym mi bardzo serdecznie podziękować za kulturalne i bardzo humanitarne potraktowanie niezaplanowanych przede mną komplikacji.

Do czego to nie przyszkolony pech? Po trzydziesto-cztery okresie próbama nagle rozchorował się poważnie i to na zupełnie inną chorobę niż to związane ze starcem potyfusowym.

A było to tak!

Otrzymałam polecenie z Wojewódzkiego Komitetu PZP do którego byłam oddelegowana jako stała prelegentka z naszego Wojewódzkiego Komitetu ZSL, aby w niedzielę/4 czy 5 marca- eść już nie pamiętam/ wyjechać do miasteczka [REDAKTOWANE] w pow. [REDAKTOWANE] i tam wygłosić odpowiednią prelekcję na zebraniu mieszkańców. Zdaje mi się, że była to tematyka związana z aktualną sytuacją międzynarodową/wydarzenia polityczne na tym nie bardzo spokojnym naszym najłepszym ze światów/.

Aktualnie byłam mocno zasłabiona z wszystkimi typowymi objawami wiosennej grypki. Ale cóż - nie było rady. Trzeba było jechać, bo nikogo więcej nie było pod ręką - wszyscy lubią w terenie. Zapewniano mnie, że Powiatowy Komitet PZP jest uprzedzony o przyjeździe wojewódzkiego prelegenta i opiekuje się mną. Uzbrojona we wszystkie możliwe środki antygrypowe, odziana w 2 szetry i 2 płaszczki/jeden ochronny/ wsiadłam o 5-tej rano do autobusu po nocy prawie nie przespanej, bo w ostatniej chwili trzeba było jeszcze na podstawie otrzymanych materiałów opracować konspekt swego przemówienia. Dzień był słoneczny, pogodny tylko zimny, a wiatro solenie od morza, jakby wiozły z całej kuli ziemskiej tu nad Odrą cały sobie rendez-vous. autobus - nie powinien - przeciwny, bo szparami wciskał się wiatr i mulał swobodnie po nim. Skulona i ścięgnięta marzyłam tylko o gorącej herbacie i zacisznym miejscu. Dzień około 7-mej byłam na miejscu. Miasteczko zobaczyłam po raz

pierwszy. W czasie moich poprzednich wdrówek po niemal wszystkich zakątkach Pomorza [redacted] jakoś nie miałam szczęścia poznać tego uroczego, a tak typowego dla tych ziem miasteczka.

Owszem czyste, porządne, ale tak wczesną porą wyludnione, że nie mogłam żywego ducha spotkać i zapytać o drogę do Powiatowego Komitetu PZM, bo o tym, aby mnie oczekiwano mowy nie było. No cóż, trzeba sobie jakoś radzić samemu! Trudno przecież bez końca stać na zimnym wietrze, pośrodku pustego rynku. A na zwiedzanie miasta w tych warunkach wcale nie miałam ochoty. Kościół był otwarty, ale zimny jak pozostała reszta. Nagle zobaczyłam z dala migające światło. Powoli /bo gorączka już mi się dawała we znaki/ ruszyłam w kierunku szawczego i wesołego mrugającego światła z bocznej uliczki. Okazało się, że jest to szewnia mleka. Dudy okrągły trocinowy piec starał się, jak mógł, żeby choć trochę ogrzać małe pomieszczenie z cementową podłogą. Gościnnie panienka - po moim wyjaśnieniu - uszczyła mi krzesła przed piecem, informując równocześnie, że za godzinę musi zamknąć sklep, ale w rynku jest gospoda, w której, jeśli zajdzie od tyłu, przyjmą mnie na pewno i ogrzeją.

Właśnie tak drobiazgowo opisuję ten fakt, bo od tego wszystko się zaczęło. Na razie przyjemne ciepło bijące z bezpośredniej odległości rozmarzło mnie i nastrojało pogodnie. Prawie zasypiając - wybaczalam wielkodusznie temu komuś, który zapomniał o swoim obowiązku. Potem zrobiłam tak jak mi życzliwie kazano. W gospodzie przyjęto mnie z serdeczną gościnnością, posadono w kuchni przed paleniskiem, a dla większego efektu otworzono drzewiczki. Bar buchał wprost na mnie. Odtajałam w tej gorącej atmosferze. Przy okazji dowiedziałam się, że pracownik PZM miał w sobotę imieniny i pewnie trochę zaspak, a tzw. przedstawienie ma się odbyć w sali w rynku około godziny 16-tej, bo wtedy przyjadą artyści. No cóż - pomyślałam - szkoda, że tego wcześniej nie wiedziałam. Mogłam sobie saoszczwdsić tak rannej podróży. Gdzieś około południa aja-

wik się mocno skonfundowany przedstawiciel PZM - tłumaczył się bardzo gęsto, a w rezultacie zostawił mnie nadal pod opieką zacnych kobiet w gospodzie. Czulaś się coraz gorzej, nie pomagały gorące szklanki herbaty z cytryną i zalywane środki przeciwgrypowe. Postanowiłam mimo wszystko przetrwać i przed tzw. przedstawieniem wygłosić swoją zaplanowaną pogadankę. Gościwna kelnerka zaproponowała mi przespanie tych kilku godzin do zebrania w swoim pokoiku na poddaszu - widać nie tego wyglądałam.

Przyjechała liczna ekipa z Wojewódzkiej Szkoły Milicyjnej z częścią artystyczną /własnymi samochodami/. Sala była duża, tak na oko na 500 osób - wypełniona po brzegi, przeważnie dzieciarnią i młodzieżą. Usiadłam za stolikiem i zaczęłam mówić. W pewnym momencie miałam wrznięcie, że nieskrętnie usiadłam i chciałam się poprawić na krześle. Nagle usłyszałam cichy trzask w kręgosłupie i uczułam dojmujący ból. Nie mogłam się ruszyć, pociemniało mi w oczach ale całym wysiłkiem woli dalej mówiłam jak gdyby nic się nie stało. Skończyłam wreszcie, odczunałam z ulgą, że już wykonałam swój obowiązek i usiłowałam z trudem wstać z nieszczęsnego krzesła. Próbowalam jeszcze wziąć udział w dalszej części zebrania, lecz promieniujący ból w obu kończynach wznagał się z każdą chwilą i odbierał mi władzę w nogach. Myślałam początkowo, że to zwykły postrzał - a zatem trzeba będzie poleżeć z tydzień, aby się tylko jakoś teraz dostać do domu, do [REDAKTION]. Nie będę opisywać gehenny tych godzin, kiedy stałam na zimnym wietrze, oczekując na nieco spóźniony autobus, ani oszałamiającego bólu w każdorazowym podskoku autobusu na wybojach szosy. Tego nie da się opisać.

Tak zapoczątkowana nowa choroba przeciągnęła się prawie trzy miesiące, nie obeszło się bez szpitalnego leczenia i długotrwałej potem kuracji ambulatoryjnej w gabinecie reumatologicznym im. [REDAKTION]

W końcu wykaraskałam się z tego leczenia - pracowałam nor-

malnie, obowiązków z biegiem czasu przybywało, ale byłam pełna energii i nadziei, gdyż środowisko inteligentne i życzliwe nie dawało powodów do rozczarowań czy niezadowolania. Dobrze mi się pracowało. Pomagałam w dalszym ciągu siostrze, jak tylko mogłam, gdyż ona bez wyuczonego zawodu, nie była w stanie zapracować na to, by podreperować budżet domowy, skoro spoczywał on tylko na barkach szwagra. A on pracujący w Zjeunoczeniu energetycznym jako kierownik techniczny warsztatów transformatorowych stosunkowo mało zarabiał, więc kruczo nieraz było z finansami. A ja byłam przecież sama, więc naturalnym porządkiem rzeczy do mnie należała pomoc.

Ale wracam do dalszych moich losów. Natura obdarzyła mnie wyjątkową przekorą i uporem. Gdy tylko poczułam się lepiej po tych ostatnich chorobach, zaczęłam mnie kordzić, aby podnieść swe kwalifikacje zawodowe. Nie wystarczały mi kursy bibliotekarskie: jeden dla kierowników bibliotek powiatowych, drugi - dla pracowników technicznych bibliotek naukowych. Było mi tego za mało. Odżyły dawne marzenia o ukończeniu studiów wyższych. Usiłowałam się intelektualnie na siłach, żeby podołać wymogom uniwersyteckim. O dokończeniu studiów psychologicznych przestałam marzyć, bowiem arytmia serca jako powrót po przebytych tyfusie nie pozwalała mi na śpiewanie. Zaczęłam myśleć o [REDAKTION] - o zaocznych studiach humanistycznych, które też mnie pociągają. I nagle, zupełnie przypadkowo dowiedziałam się, że od roku już działa [REDAKTION] na uniwersytecie 5-cio letnie [REDAKTION] Studium Bibliotekoznawstwa [REDAKTION] jako jeden z kierunków Wydziału [REDAKTION]. [REDAKTION] jest nabór na nowy rok akademicki.

Wiadomość ta poderwała mnie jak błyskawica do czynu. Szybko zrobiłam notarialny odpis wszystkich potrzebnych mi dokumentów i wraz z podaniem wysłałam na los szczęścia do [REDAKTION]. Nie znałam tam nikogo, nie miałam żadnego poparcia, a liczyłam się z tym poważnie.

że podejmuję ciężkie, długoletnie studia w 48-ym roku życia. Ale przyrzekałam sobie stanowczo, że jeśli zdam egzamin wstępny i zostanę przyjęta na to doświadczenie, wszelkimi staraniami, to cały wolny czas poświęcę tylko i wyłącznie na naukę. Nic dla mnie w życiu już nie było ważniejszego od tego, co zamierzałam zrobić.

Ze wzruszeniem i bijącym sercem otworzyłam list z uczelni zawiadamiający mnie o dopuszczeniu do egzaminu wstępnego.

Załączona do podania opinia z zakładu pracy była jak najlepsza, ale w rzeczywistości nikt nie wierzył w urzeczywistnienie moich zamiarów. Z pobłażliwością odnoszono się do mnie, kiedy o tym mówiłam. Najczulszym zdaniem, jakie wtedy słyszałam, nawet od najlepszych przyjaciół to: - "porywasz się z motyką na słońce" - albo: "kobietko, w tym wieku, z taką przerwą od matury, po tylu latach i tylu przebytych chorobach? Zastanów się na zimno" - No cóż! Każdy sądzi według siebie. A ja czułam wewnętrznie, że podjęłam obowiązek, że dam radę dojechać na sesję te blisko 400 km. dzielących [redacted]. Byle tylko uzyskać przyjęcie, to reszta na pewno się ułoży. I choć nie wiedziałam wtedy o szerokiej wachlarzu zagadnień z różnych humanistycznych dziedzin wiedzy, to sam fakt w uczestniczeniu tego tajemniczego misterium jakim są wykłady i studia uniwersyteckie - napełniał mnie takim błogim uczuciem radości, że śpiewać mi się chciało na cały głos. Byłam gotowa wszystkie kraje, jakie poprzednio doznałam - przebaczyć, zapomnieć, cały świat uściskać za możliwość kształcenia się.

I choć jako wytrawna prelegentka, umacniająca od szeregu lat w świadomości ludzkiej, doniosłość przemian, jakie zaszły i zachodzą w dalszym ciągu w naszym kraju wraz z nowym ustrojem państwowym w życiu narodu - to jednak dopiero teraz odczułam co właściwie znaczą słowa - "demokracja życia społecznego" - "oświata dla mas" - "Polska krajem ludzi kształcących się". Dopiero teraz w pełni odceniam znaczenie tych słów i ich wagę, rzutującą na losy obecnych

i przyszłych pokoleń. O piero teraz, kiedy sama stanęłam oko w oko z problemem możliwości zdobycia wyższych kwalifikacji bez ograniczeń z jeany tylko warunkiem, by się uczyć, w przepisany terminie zdać odpowiednie egzaminy-sprawdziany zdobytych wiadomości i umiejętności. Otrzymałam z zakładu pracy 10 dni ustawowego urlopu celem przygotowania się do egzaminu wstępnego. Te 10 dni to pomost łączący mnie z matką, składaną kilkadziesiąt lat temu, a czasem teraźniejszy, czasem, w którym zaczęłam długoletnie, ciężkie i wyczerpujące studia wyższe.

Zdobyłam się na najwyższy wysiłek, jaki tylko mogłam, bo przez kilkanaście godzin dziennie bez przerwy powtarzałam wiadomości objęte programem egzaminów wstępnych. W dodatku wskutek niedokładnej informacji co do wymagań egzaminacyjnych, powtórzyłam oprócz historii Polski, historię powszechną Europy w wszystkich okresach począwszy od starożytności.

W głowie mi łuczako - wiadomości przewalały się w mózgu w jakiejś szalonej sarabandzie, bo oprócz historii państwa, trzeba było powtórzyć historię literatury polskiej od Galla Anonima począwszy.

Z tak naładowaną mózgownicą, a właściwie z intelektualnym mentlikiem w głowie - pojechałam do Wrocławia, obcego miasta, nie znająca przepisów obowiązujących na wyższej uczelni. Nie traciłam jednak odwagi, opanowana byłam, wprost maniackalnie jedną myślą - muszę zdać, i to dobrze zdać, bo na pewno konkurencja będzie duża, gdyż cały kraj przecież zjeżdża się tu do [REDACTED] na te specjalistyczne studia. Kandydatów było sporo. Jedni odpadli przy egzaminie pisemnym, inni przy ustnym. Ale i tak została gromadka 30-ciu osób, którzy przeszli przez szerokie sito pytań egzaminacyjnych. O dziwo! Nazwisko moje było na liście zdanych. Radność moja nie miała granic, choć wcale nie wiedziałam czy zostanę przyjęta skoro

tylko 40 miejsc było wolnych. W każdym razie wróciłam do domu pełna radośnej dumy, bo znałam bardzo dobrze. Zdziwienie u moich znajomych - "skądś-kwaśne" miny u moich przełożonych, no bo te wyjazdy na sesje i zastępstwa na czas nieobecności. Budzono się jeszcze że nie zostaną przyjęta z braku miejsca. Szukałam na decyzję uczelni z drżeniem serca. Własnym oczom nie wierzyłam w sierpniu, gdy otrzymałam zawiadomienie o przyjęciu, i wyznaczeniu daty pierwszej sesji wraz z uroczystym rozpoczęciem roku akademickiego i immatrykulacją nowych studentów.

W moich znajomych jakby grom uderzył. Zawrzało jak w ulu. Nie zwracałabym na to absolutnie uwagi, gdyby nie zmiana stosunku moich znajomych. Zaczęło robić trudności z delegacjami i wyjazdami na sesję, bo wtedy kierownik musiał mnie zastępować. Zaczęło utrudniać mi życie w różny możliwy kżk sposób. Chodziło o to, abym sama zrezygnowała ze studiów. I po trzech kżkżk sesyjnych wyjazdach zakamazałam się nerwowo, przestałam sypiać, martwiłam się. Naturalną kolejną skończyło się to ogólną nerwicą organizmu i urlopem dziekańskim. Leczyłam się bardzo intensywnie pracując normalnie, nie nie wspominając o urlopie z uczelni. Myślano, że zrezygnowałam z nauki. Ale wiadomo, duch ze mnie niespokojny i nader uparty. Po roku wróciłam na uniwersytet. Tyle tylko, że nerwy miały mocno nadszarpnięte. Pod doskonałą i kilkuletnią opieką lekarki /wspaniałego człowieka/ doszłam do takiego hartu woli i równowagi ducha, że żadne potem niespodzianki nie zdołały mnie zawrócić z raz obranej drogi, tym bardziej, że nauka nie sprawiała mi żadnych trudności, przeciwnie, z dnia na dzień stawała się moją pasją życiową.

I tak koncentrując całą swą uwagę na dążeniu do raz wytkniętego celu - przemyślałam nad tym, w jaki sposób poprawić sobie warunki do nauki.

Tu muszę zrobić małą dygresję. To, że się nie zakamazałam

kompletnie, że nie zrezygnowałam z tak dobrze zapoczątkowanych studiów - zawiązałam starszemu o 3 lata, jedynemu pozostałemu z trzech braci, bratu [REDAKTOR]. To on właśnie poradził mi wrócić się do uczelni o urlop dziekański. To on pomagał mi dobrym słowem w przetrwaniu najcięższego okresu choroby i przerwy w nauce. To on wreszcie utwierdził mnie w przekonaniu, że powinnam się uczyć i pokonywać spokojnie przeszkody, jakich mi nie szczędzono przez wszystkie lata nauki.

Wracam do dalszych losów moich studiów. Dowiedziałam się, że Kuratorium [REDAKTOR] lansuje z nowym rokiem szkolnym obsadzanie bibliotek szkolnych etatami bibliotekarekimi. Szybko więc zdecydowałam się na przeniesienie do szkolnictwa. A że w tym okresie kuratorem był mój były dyrektor z [REDAKTOR] Liceum Pedagogicznego [REDAKTOR], więc sprawa ta nie przedstawiała żadnych trudności. I tak się zaczęła moja trzyletnia służba biblioteczna w szkolnictwie. To był bardzo wyjątkowo ciężki okres w moim życiu. Ale przeszedł jak inne, sama nie wiem kiedy!

Była to znowu do pewnego stopnia pionierska praca. Statowe bibliotekarstwo szkolne w przeciwieństwie do publicznego - nie miało tradycji, wyrobionych metod i form pracy z książką i młodocianymi czytelnikami, szczególnie tu na Pomorzu Zachodnim. Stąd eksperymentowanie i inicjowanie różnych podejść do tego zagadnienia.

Nie wiem, czy to był traf, przypadek, czy zaplanowane pociągnięcia "dyplomatyczne", że w nowo wybudowanej szkole, w dzielnicy portowej, tam gdzie mi wyznaczono placówkę biblioteczną - kierownikiem szkoły był mój były uczeń sprzed 10-ciu lat, właśnie z Liceum Pedagogicznego. Nie był chyba entuzjastą swojej byłej nauczycielki, bo z zamiłowania i zdolności był matematykiem. Wprawdzie stosunki służbowe były między nami zupełnie poprawne, ale niestety - ścieżka moim była przez to o pedagogiczna. Nie chciało pani stać, że od wielu lat jestem tylko bibliotekarka. W efekcie miałam ciągle

zastępstwa za chore koleżanki na lekcjach w poszczególnych klasach - a moja praca biblioteczna w tym czasie "leżała". A przecież objęłam cały pokój z kilkudziesięcioma pakami książek, zwalonymi na stół, tak jak je przywieziono z księgarni. To nie była biblioteka, to był skład nie przystosowany technicznie do wyposażenia książek.

Kto nie parzył się pracą bibliotekarską, ten nigdy nie pojmie mrowczej, nie-efektywnej pracy, bardzo czasochłonnej i bardzo drobiazgowej. I kiedy to trzeba było robić, jeśli czasem, szczególnie w sesonie jesiennie-zimowej, miałam dziennie po kilka zastępstw. Oczywiście moja normalna praca techniczna odbywała się najczęściej w czasie wolnym, w tym czasie, który chciałam przesunąć wyłącznie na naukę, na przygotowanie prac pisemnych, kontrolnych z poszczególnych dziedzin wiedzy objętej programem studiów. A było tych przedmiotów do zdawania w każdym semestrze po 8, 9, 11. Więcej co mi pozostało? Uczyć się tylko nocami. To też nigdy nie kładłam się wcześniej, jak o drugiej, trzeciej, a nie rzadko o czwartej nad ranem. O ósmej zaś rano już trzeba było być w szkole. Nie wysypiałam się więc całymi latami, ale to sprawa normalna przy tego rodzaju trybie życia.

Co jeszcze utrudniało ogromnie łączenie pracy zawodowej z nauką? Brak zaplecza humanistycznego w postaci własnej biblioteki naukowej tego typu. To bardzo ważna przeszkoda w uzupełnianiu wiadomości, szczególnie jeśli chodzi o materiały źródłowe i poważne opracowania naukowe. Istniejące ówczesnie dwie biblioteki tego typu tj. Wojewódzka Biblioteka Pedagogiczna i Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna tylko w minimalnym stopniu mogły zaspokoić moje zapotrzebowanie na dzieła naukowe. Pozostawało tzw. wypożyczanie między-biblioteczne z innych ośrodków naukowych w kraju. Ale to nie łatwa sprawa. ~~XXXXXXXXXX~~ Kewerzy przychodziły z kilkutygodniowym opóźnieniem i to najczęściej załatwiane odnowicie. Jeden

czy dwa egzemplarze danego dzieła to przecież za mało na własne potrzeby, a cóż dopiero mówić o innych, obcych. Pozostawała więc ostatnia możliwość - szukać we wrocławskich bibliotekach podczas sesji lub specjalnie po to dodatkowo wyjeżdżać. I tak też się robiło. W praktyce więc co miesiąc pokonywanie 400 km. przestrzeni tam i z powrotem w ścisiku, nieraz doskownie na jednej nodze. A po nie przespanej całonocnej jeździe - normalna praca zawodowa. I to ciągłe napięcie nerwowe, zeza na czas wykład prace kontrolne, żeby dotrzymać terminu kolokwium lub egzaminu.

Tak to trwało trzy lata, lata najgorszego przesiewu, gdyż wymagania profesorów w stosunku do studentów zaocznych były daleko większe, tłumaczone większą masą dojrzałością umysłową i większym dyscyplinowaniem w nauce.

No cóż, na wszystko się płaci, nawet za swoją dojrzałość, za swoje dobrowolne hobby naukowe.

Skoro skończyło się trzeci rok studiów, wiadomo już było, że dany student powinien dotrzeć do końca. Jakim zaś się to odbywało kosztom? A cóż to kogo obchodziło? I czy w ogóle kogokolwiek obchodził los biednego studenta zaocznego, szczególnie zaawansowanego wiekiem, choćby zdawał egzaminy jak najlepiej? Smutne doświadczenia na tym polu nauczyły mnie jednej ważnej rzeczy, a mianowicie, że mogą liczyć tylko na własne siły i zdolności. A tych sił z każdym rokiem ubywało. Odbijały się na zdrowiu nie przespane noce, uciążliwe podróże, brak urlopów wypoczynkowych, bo te przeznaczano się na naukę. Na naukę dniami i nocami. Ale zawziętość w sercu była wielka i mocne postanowienie dokończenia studiów bez względu na ofiary jakie trzeba ponieść. To też nie wahałam się ani chwili, gdy nadarzyła się okazja przeniesienia się do [REDAKTOWANE]. Stawiałam wszystko na jedną kartę. Rzuciłam wszystko; znane miasto od 1945 r, szerokie grono znajomych, mniejsze ale dobrane grono przyjaciół, niekiedy jeszcze z trudnych, wspólnych czasów pionierskich, kiedy

to życie w zniszczonym mieście było jedną wielką niewiadomą. Zosta-
wiłam swoich najbliższych, mieszkanie, słowem swoją matką stabili-
zacji, a wszystko dla jednego celu - dla studiów. Wszystko po to,
by jako wysoko wykwalifikowany pracownik w swoim zawodzie służyć
społeczeństwu, by młodemu przekazać zasób wiedzy, doświadczenia,
praktyki.

Tak wówczas myślałam, gdy decydowałam się na wyjazd do [REDACTED]
[REDACTED]. Było to w połowie 1951 roku.

Tym zdaniem mogłabym zakończyć pierwszą część swych wspomnień
- zamknąć [REDACTED] okres mego życia w powojennych warunkach...

.

HOK 1970. PERSPEKTYWICZNE PLANY PRACY BADAWCZO-NAUKOWEJ.

Od przeszło [REDACTED] jestem już po dyplomie magisterskim. Pierw-
szy stopień zdobyty! I co dalej? Już w trakcie zdawania niektórych
egzaminów końcowych wysuwano pod moim adresem sugestie, a nawet
konkretne propozycje dalszej nauki, pracy publikacyjno-naukowej.
Myśl ta przyświecała mi już od 4-go roku studiów i nie zginęła na-
wet w trudnych chwilach przymusowej bezczynności podczas szpital-
nego leczenia/silny nawrót dolegliwości ischiacowych/. Ale za dużo
wtedy miałam do pokonania trudności, aby rozstrzaniać swe siły, dla-
tego dopiero teraz mogę projektować dalszy swój los, który nieodwra-
calnie związałam z dalszą nauką.

Wobec długoletniej pracy w bibliotekarstwie powszechnym -
choć może dostanę pracę w instytucji naukowej - postanowiłam zebrana
ne latami spostrzeżenia i doświadczenia wykorzystać w najbliższych
pracach publikacyjnych, które otworzą mi drogę do pozycji samodziel-

nego pracownika naukowego. Choć wiekiem jestem już zaawansowana, ale że zdrowie mi jak na razie dopisuje, a intelekt pracuje na pełnych obrotach, więc uważam, że grzechem byłoby marnować takie atuty, które dadzą mi satysfakcję z dobrze przeżytego życia. Nie smaruję je, przeciwnie, wykorzystam do maksimum zdolności, wiedzę, doświadczenie, by na najbardziej znanym mi polu działania skutyc społeczeństwu do końca.

Sprawa ta nabrała już konkretnych kształtów i właściwie mam na przyszłe lata wytyczony kierunek działania. A więc zdecydowałam się na zrobienie drugiej specjalizacji tj. socjologii czytelnictwa /pierwsza to historia dawnej książki/.

Uzgodniłam już w Instytucie [REDAKTOR] z Dyrektorem Prof. Dr [REDAKTOR] że pracami moimi kieruje Prof. [REDAKTOR], znany na tutejszym terenie naukowiec i moją byłby wykładowca w dziedzinie historii bibliotek. Zaakceptowane przez Dyrektora Instytutu trzy tematy do prac publikacyjnych wymagać ode mnie będą pracy, ale dadzą mi przy tym i sporo radości. Bazują one w 90 % na dotychczasowej mojej pracy zawodowej. Oczywiście, o ile zmienię niesbyt dla mnie wygodne warunki pracy, tym większe będą miała możliwości, ~~zrealizować~~ by w ciągu następnych 2-3 lat zrealizować wymienione zamiary. Jeśli nadal będę się borykać z trudnymi warunkami bytowo-zawodowymi, to naturalnie okres przygotowania materiałów do druku ulegnie nieco przedłużeniu.

Być może, że po uzyskaniu stopnia naukowego, na warsztat swej pracy badawczej-naukowej oprócz problematyki socjologicznej wezmę również i zagadnienia z historii dawnej książki. Powszechnie to bowiem wiadomo, że na bazie kultury przeszłych wieków tworzy się kultura współczesna. Jest to zresztą nieprzerwany ciąg historyczny, w którym ma swój ważki udział książka, szczególnie drukowana. Dlatego też ta dwukierunkowa praca naukowa jakiej zamierzam się poświęcić, będzie syntezą i ukoronowaniem mego życia. Prace socjolo-

giczne z zakresu czytelnictwa, rejestrujące na bieżąco zmiany i przeobrażenia mentalności społeczeństwa polskiego, to twierdzenie w teraźniejszości oraz prace z zakresu historii książki, będącej wykładnikiem kultury polskiej dawnych czasów i jej wytknięty wkład w kulturę ogólnoludzką - oto, co mnie fascynuje i napełnić mnie może przekonaniem, że właściwie zużytkowałam wiedzę zdobytą na uniwersytecie, że równocześnie utwierdzi mnie w przeświadczeniu, że uiszczę w ten sposób dług wdzięczności i w stosunku do moich byłych profesorów, których tu musiałabym w jakiejś drugiej szeregu wymienić. Są to wspaniali ludzie nie tylko dlatego, że tak wielką i wszechstronną wiedzą się odznaczają, ale przede wszystkim dlatego, że umieli w swoich podopiecznych zaszczerpić na stałe "bakcyl", któremu na imię NAUKA.

Z tych moich planów na przyszłość wynika, że znów większą część wolnego czasu poświęcę nauce i na tzw. rozrywki niewiele go pozostanie. I to jest dobrze. To pomaga utrzymać się w stałej równowadze duchowej, w stałym pogotowiu intelektualnym, to wreszcie sprawia, że czuję się pełnowartościowym człowiekiem bez względu na okoliczności zewnętrzne.

Komu to wszystko ma do zawzięcia/pomijając mój osobisty wysiłek???

Nie trudno zgadnąć! Ustrojowi dzisiejszej Polski, który stawia każdego człowieka przed nieograniczonymi wprost możliwościami. Nieograniczeność jest pojęciem wprawdzie względnym - w tym wypadku granice narzuca umysł i jego zdolności. Ale, czy mogłam marzyć przed 1939 rokiem o tym, by w 60-tym roku życia mieć jeszcze przed sobą takie perspektywy naukowe? Starsze pokolenie pamięta przecież dobrze ekskluzywny i elitarny charakter nauki. Tylko nielicznymi udało się wdrapać na ten parnas. A rygory i ograniczenia/census wieku, pochodzenia, majątku itp./ stosowane wtedy nie mogły dać najmniejszej szansy uczenia się człowiekowi po 30-ce.

Dziś te wszystkie zapory nie istnieją. Człowiek po prostu może wszystko zdobyć, jeśli tylko ma za sobą: siłowności, energię i pracowitość-. To już dzisiaj jest truizm. I dlatego z ufnością i spokojem patrzę w przyszłość.

Czas teraz zająć się bardzo poważnym problemem, który wyrzyk się naszymi życiu niesatartym zmianami i przeobraził całkowicie w człowieka świadomie kroczącego ku socjalizmowi.

Lata całe byłam pod tym względem obojętna. Jedli poświęcałam się pracy społecznej to było to zgodnie z moim wychowaniem, z moją tradycją rodzinną, ale nie byłam w pełni świadoma przyczyn, dlaczego tak, a nie inaczej postępuję, jakie racje mnie do takiego postępowania skłaniają. Wszystko zaczęło się dopiero po 1945 roku.

A jak to się stało o tym na chwilę, na dalszych kartach tej historii.

ROLA ZJEDNOCZONEGO STRONNICTWA LUDOWEGO W MOIM ŻYCIU.

/Na przestrzeni ostatnich 25-ciu lat/.

Krótką syntezę tego czym dla mnie było i jest Stronnictwo Ludowe zamieściam zaraz na początku wspomnień. A teraz pora na szczegółowe przedstawienie jak kształtowała się moje świadomość obywateli a czasem i aktywistki pracy społeczno-politycznej w szeregach najpierw SL-owskich, a po zjednoczeniu w ZSL-owskich. A przede wszystkim, jakim to się stało, że znalazłam się właśnie w tych szeregach a nie innych, bo przecież nie pochodzę ze wsi, a z miasta?

Na to by zostać członkiem Stronnictwa Ludowego skłotyło się kilka przyczyn. Najważniejszą z nich była chyba długoletnia przynależność średniego brata [REDAKTOR] jeszcze z okresu międzywojennego.

O bracie tym wspominałam już przy okazji omawiania moich pionierskich dni w [REDAKTION]. Tutaj tylko nadmienię, że o ile specjalnie nie odczuwałam potrzeby pracy społecznej w ramach jakiegokolwiek organizacji, bo bardzo dużo społecznie pracowałam, że się tak wyrażę indywidualnie jako nauczycielka w okresie międzywojennym, a częściowo w tajnym nauczaniu podczas okupacji, to obecnie po tragicznej śmierci brata zrozumielałam, że jednostka niczego nie robi, ani nie naprawi, bo jest za słaba, żeby przeciwstawić się zorganizowanemu złu.

Ruch ludowy i to ten o bardzo radykalnym zabarwieniu, nie był mi obcy z tego względu, że miałam zawsze ciągłe kontakty z bratem [REDAKTION]. A szczególnie wtedy, gdy lata całe był bezrobotnym/miał zoną ze wsi i tam też mieszkał - [REDAKTION]. Bardzo często dowiedzałam ich, utrzymywałam korespondencję i w miarę swych skromnych sił pomagałam im bądź finansowo, bądź zaopatrywałam w potrzebną odzież. W czasie spotkań z bratem prowadziłyśmy za długie "nocnych redaków rozmowy", w których poruszaliśmy dosłownie wszystkie problemy, a wśród nich najbardziej palący, najbardziej nas obchodzący - problem bezrobocia, bo i drugi brat najgłodniejszy, [REDAKTION], który miał za sobą szkołę rolniczą i mleczarską, również częściej bywał bezrobotny na skutek likwidacji stanowisk inspektorów kontroli mleczności a niżeli pracował.

Znałam poglądy brata, choć wtedy jako bardzo młoda osoba, rojąca o sukcesach na polu muzykologii, niewiele uwagi poświęcałam tym zagadnieniom. A że wówczas kompletnie polityką się nie zajmowałam - uważałam, że tak być musi i tacy ludzie jak brat nie nie zrobią, bo za sobą nie mają ani kapitałów, ani stosunków, ani odpowiedniego wykształcenia. Zdawało mi się, że tylko ludzie wysoko intelektualni stojący zdolni są przekształcić świat, a przynajmniej zmienić coś w stosunkach międzyludzkich. Oczywiście na ten temat nie mówiłam z bratem, by go nie xxx rozdrażniać, gdyż tak ideowo

był zaangażowany w tę swoją pracę/siedział 9 miesięcy w więzieniu [REDAKTOR] jako tzw. "niebezpieczny bandyta"/, że śal mi było sprzeczać się z nim.

Ale po jego bezsensownej śmierci jakoś zaczął się zastanawiać czy nie wejść na jego miejsce w szeregi ludowe, by choć w części wypełnić tę lukę, jednocześnie zdawał sobie doskonale sprawę z ogromnej różnicy między nami. On był wytrawnym działaczem, zahartowanym w pracy konspiracyjnej z czasów okupacji, a ja pod tym względem "tabula rasa".

Drugim powodem, który mnie skłonił do wstąpienia do Stronnictwa Ludowego to była zachęta i namawianie ze strony najmłodszego brata [REDAKTOR], jak już wspominałem rolnika z wykształcenia, przed którym po wojnie otworzyły się nowe perspektywy pracy w usiłowanym zawodzie /zoo-technik/ a który wcześniej ode mnie zapisał się do Stronnictwa, gdyż uważał, że tylko tam jest jego miejsce.

Następnym również ważkim powodem były rozmowy na ten temat w latach 1946/47 podczas mojej pracy w Kuratorium [REDAKTOR] z byłym moim profesorem matematyki z średniej, lwowskiej jeszcze szkoły. Był on wtedy [REDAKTOR] w Wydziale Szkół Średnich - a znając mnie prawie od dziecka, chętnie chciał mnie widzieć w tym samym szeregu pracowników społeczno-politycznych, do których należał i on. A jak dawniej prof. [REDAKTOR] miał na mnie przemotny wpływ.

I jeszcze jedna myśl skłaniała mnie ku temu, by w pracy społecznej poświęcić się dla wsi. Wprawdzie myśl skłaniała ta miała trochę przekorną postać, ale sąszę, że dziś tak samo myślałabym, jak wtedy przed ~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~ dwudziestu z górą laty. Otóż tak się skozyło, że od 3 lat przed wybuchem drugiej wojny światowej pracowałem w szkołach wiejskich. I choć na skutek zmian rodzinnych w lecie 1939 roku miałam się przenieść do rodzinnego Lwowa, to jednak wybuch wojny uniemożliwił mi to i wojna zastała mnie na wsi, gdzie ostatnio pracowałem w jednoklasowej

sakole. Lata okupacji wspominał ze zgrozą i smutkiem nie tylko z powodu śmiertelności ogólnonarodowej, ale i z tego powodu, że tamtejsi ludzie uczyli mi bardzo dużo krzywdy, wprost nie do naprawienia i koszmar wojny stworzyli mi podwójnie ciężki. Nie chcę o tym pisać, bo to zresztą nie należy do tematu niniejszych wspomnień. Ale jakby na przekór tym wszystkim tragicznym przeżyciom wojennym, postanowiłam właśnie wstąpić w szeregi ludowe, by na doświadczeniu z jednej wsi nie budować sobie obrazu wsi polskiej jako takiej. Zdawałam sobie przecież z tego sprawę, że byłoby to nonsensem. Z drugiej strony zaciekawiała mnie społeczność wiejska. Chciałam ją poznać, jaką ona jest na prawdę.

Taka byłaby mniej więcej geneza początków mojej przynależności do Stronnictwa. Czy zakuję tego kroku z r. 1946? Nie! Absolutnie nie! Przeciwnie - poszerzył mi się horyzont myślenia o zagadnienia równości społecznej, sprawiedliwości, praworządności itd., itd. Przekonałam się, że tak jak jedna jaskółka nie czyni wiosny, tak ludzie jednej wsi nie mogą przeszkodzić obrazu społeczności wiejskiej i że nie można mierzyć tą samą miarką całego ogółu, na co zasłużyły jednostki. A poza tym, że wszędzie są ludzie, ludziska i mali, bardzo prymitywni w swoim myśleniu i działaniu ludzkowie. Jakieś generalizowanie w ocenie postaw ludzkich byłoby tu nie na miejscu.

W szeregach Stronnictwa Ludowego/a po zjednoczeniu w ZSL/ stopniowo, coraz bardziej poznawałam prawa, które rządzą i tą wielką polityką i tą małą. Wśród grona życiowych koleżanek i kolegów dochodziłam do pełnej świadomości swego miejsca w kraju i swojej Ojczyzny w świecie. Ze wszystkich - zresztą jak najbardziej słusznych - założeń programowych mego serca i umysłu dwa z nich, a to: walka ludzi o utrzymywanie ~~państwa~~ pokoju w Polsce i na świecie oraz przekształcenie mentalności ludzkiej w kierunku wzajemnej współpracy i pomocy w budowie lepszego, spokojnego i jasnego jutra dla ludzi na całej kuli ziemskiej. I tej problematyce oddałam swe siły

i solidności bez reszty czy to w pracy społeczno-politycznej czy zawodowej, czy wreszcie w swoim małym prywatnym życiu, wśród najbliższych i otoczenia z którym stykam się na codzień.

Dzień za dniem, rok za rokiem, szłam uparcie tą drogą, a nie była to łatwa droga. Nieraz kaleczyłam swą wrażliwą duszę, bo albo nie umiałam się jeszcze dość jasno rozeznąć w tym pogmatwanym konglomeracie ludzkich dążeń i aspiracji, albo nie zawsze umiano mi właściwie wyłożyć racje i udowodnić słuszność takich, a nie innych poczynań. Mam wrażenie, że w tych gorących, powojennych czasach - wszyscy od wszystkich uczyli się i przyswajali tę wielką prawdę, że człowiek powinien być człowiekowi bratem i że jedynie tylko ta idea ma rację bytu, jeśli chcemy uchronić świat od zagłady a siebie od ostatecznej klęski.

W szeregu ZSL-owskich znalazłam odpowiedź na różne mnie dręczące pytania i wątpliwości, bo wcale nie jestem stworzona z monolitu. I nie umiem wszystkiego bezkrytycznie przyjmować wszystkiego z góry, z nakazu, drogą przemocy i autorytatywnego narzucenia. Do pewnej postawy, czynnej wobec zachodzących zjawisk i przemian społecznych dochodziłam poprzez własną myśl analityczną, własny osąd, który był częściowo wynikiem mego wychowania w domu, w szkole, gdzie wpojono mi na całe życie takie hasła i wskazówki moralne, które nakazują, by nikomu nie robić krzywdy, a we wrogu nawet dopatrywać się jakichś cech pozytywnych/pomijam tu osobniki aspołeczne i zdecydowanie nieludzkie w swoim postępowaniu, nie mówiąc już o zezwierzęceniu./

I muszę tu z całą stanowczością podkreślić, że w Strennicztwie nigdy nie spotykałam się z metodą nacisku, narzucenia przemocą ideologii, a raczej z metodą wyjaśniania, tłumaczenia i przekonywania. Zawsze stawałam przed możliwością wyboru. I to właśnie zdecydowałam, że choć nieraz były dla mnie ciężkie czasy, to jednak wytrwałam przetrwałam i nie mam zamiaru opuszczać swojej sielonej drogi do

socjalizmu.

Miałam docenienia moich skromnych wysiłków w dziedzinie zawodowej i społeczno-politycznej ze strony Władz Stronnictwa - były dyplomy, podziękowania, wyróżnienia ukoronowane w 1959 roku dwukrotnie /w kwietniu i lipcu/ przez nadanie mi odznaczeń: Srebrnego Gryfa Pomorskiego i Złotego Krzyża Zasługi.

Byłam wtedy niezmiernie warussona, gdyż był to okres najtrudniejszy w mojej "kariere studenckiej". Z największym nakładem sił zaliczałam semestry poszczególnych lat z wynikami bardzo dobrymi i dobrymi. I nie raz, gdy mi w zniechęceniu ręce opadały wobec tych przeszkód, jakie miałam do pokonania - brałam do rąk te widome znaki docenienia mnie jako człowieka i obywatela swojego kraju i łój mi się jakoś na sercu robiło i znowu mobilizowałam swoją wolę do dalszego życia, do dalszej walki o szuszną drogę postępowania.

Nie będzie chyba przesadą, jeśli powiem, że w szeregach Stronnictwa zawsze odyskiwałam wiarę w człowieka, gdy wiara ta słabła w obliczu codziennych podkosteł ludzkich. Szczególnie bardzo wiele mam do zawdzięczenia koleżance z naszych szeregów, [REDACTED]

[REDACTED]. Ten wypróbowany i zahartowany człowiek, był tym, którego potrzebowałam, aby właściwie i prawidłowo rozeznać się w splocie zjawisk społecznych, nie zawsze o optymistycznym wydźwięku. Koleżanka [REDACTED] była tą, która wyjaśniała, tłumaczyła, radziła, tą która jeśli trzeba było - broniła, a przede wszystkim umacniała we mnie określoną postawę. Nasze długie, nie raz późno w noc kończące się rozmowy pozostały zawsze w mej pamięci, jako cenne wartości, zawsze aktualne. Dlatego z tego tu miejsca pragnę jej raz jeszcze jak najserdeczniej podziękować za to wszystko, czym była dla mnie w okresie szczecińskim. I jakkolwiek dzieli nas znaczna przestrzeń fizyczna to duchowo zawsze pozostaniemy sobie bliskie, owiane wspólnymi ideałami.

Wracając do roli ZSL-u w moim życiu, stwierdzam, że jeszcze

za mało zrobiłam dla Stronnictwa i marzeniem moim jest oddać zdobytą wiedzę w służbę stronnictwu, gdyż służę w ten sposób i swojej Ojczyźnie.

Moja więc praca tak naukowa jak polityczna będzie dowodem że rentuje się kapitał zaufania, jakim mnie w zielonych szeregach obdarowano. Bo pozyskać czyjeś zaufanie to wielka rzecz - tak, jak wielką rzeczą jest dobrze i pożytecznie przeżyć swoje życie.

ZAKOŃCZENIE

Zdaje mi się, że tak właśnie przeżyłam ubiegłe ćwierćwiecze i choć sama nie założyłam rodziny, to biorąc żywy udział w życiu rodzeństwa i najbliższej społeczności, w której mi wypadło być - starałam się być użyteczną na miarę skromnych sił.

Jak wspominałam - mam brata i siostrę - obydwójce mieszkają w [REDAKTOWANO]. Małżeństwo brata jest bezdzietne. Bratowa jako starszy ekonomista przed 4-ma laty przeszła na zasłużoną emeryturę z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego, a brat dobiega wieku emerytalnego na stanowisku st. inspektora produkcji zwierzęcej Wydziału Rolnego [REDAKTOWANO]. Moim zdaniem w [REDAKTOWANO] od 1946 roku ułożyło im się życie jak najpomyślniej. Cieszę się, że od wielu już lat nie grozi bratu widmo bezrobocia. Jest lubiany i szanowany za swój charakter i wielką pracowitość tak w gronie współpracowników jak i władz przełożonych. Miarą jego zasług są odznaczenia, które otrzymał a to: Złoty Gryf Pomorski i Złoty Krzyż Załugi.

Siostra zamężna, ma dwóch synów dorastających, z których starszy posiada śladem ojca i jest energetykiem/w tej chwili odbywa obowiązkową służbę wojskową/ a młodszy kończy Zasadniczą Szkołę Chemiczną, uczy się dobrze i jest nadzieja, że wykształcenie swoje zakończy na studiach wyższych. Mąż siostry długo, bo ponad 20 lat pracował w Zjednoczeniu Energetycznym na stanowisku kierownika

technicznego warsztatów napraw transformatorów i w tym czasie ukończył Technikum energetyczne. Siostra pracowała zawodowo bardzo krótko, bo zarowie jej nie pozwalało ani na naukę dalszą, ani na systematyczną pracę zawodową. Z jednej więc pensji /ok. 2500 zł/ trudno było utrzymać rodzinę /4-ry osoby/ to też szwagier przerzucił się na pracę rzemieślniczo-usługową, wstąpił do spółdzielni i otworzył własny warsztat usługowo-naprawczy, zaczynając od zera, bo nie miał żadnej własnej gotówki. Dzięki życzliwym kolegom i przyjaciółom, po uzyskaniu pożyczki bankowej, jakoś się zagospodarzył. Pracuje ciężko od "wita do nocy, ale dziś rodzina ma być zapewniona, a to jest najważniejsze.

Tak, że o przyszłość swoich najbliższych jestem całkowicie spokojna, a ja - cóż - pracując w kulturze, po 25 latach i studiach wyższych zarabiam brutto 2770 zł, z czego prawie jedna trzecia idzie na opłatę pokoju sublokatorskiego we [REDAKTOWANE]. Trudno mi zaszczędzić tyle, żeby stworzyć podstawowy fundusz do spółdzielni mieszkaniowej, bo przydziału na mieszkanie nie dostanę. Budzę się, że może moje honoraria autorskie z przyszłych prac naukowych pozwolą mi zrealizować marzenia o własnym kącie na stare lata. Przerasta mnie tylko kilkuletnie oczekiwanie w kolejce na przydział tego rodzaju mieszkania. Ale w myśl maksymy "niech ~~dykta~~ dywi nie tracą nadziei" patrzę w przyszłość pogodnie. Na raty nabyłem tutaj najpotrzebniejsze mi sprzęty, bo [REDAKTOWANE] umeblowanie odstąpiłem rodzinie. Charakter pracy zawodowej sprawia, że odżywiam się bardzo nieregularnie - obiadów nigdy prawie nie spożywam o normalnej porze.

Praca i nauka sprawiają, że coraz bardziej odseperowałem się od znajomych, bo przyjaciół tu we Wrocławiu właściwie nie posiadam. Prowadzę raczej samotniczy tryb życia. Radio, prasa, czasopisma, książki, telewizor, a od czasu do czasu teatr, opera czy koncert wystarczają mi w zupełności. Nie znaczy to wcale, że nie interesuję się tym, co się dookoła mnie i na świecie dzieje. Jako członek

ZSL-u biorę czynny udział w statutowych zebraniach i szkoleniach, a z racji mego zawodu przez szereg lat byłem działaczem PZU - została nawet odznaczona z tej racji Odznaka 100-lecia Państwa Polskiego. Obecnie raczej nie udzielał się, gdyż brak mi czasu, który w zupełności poświęcam nauce. Cieszę się z każdego osiągnięcia miasta, ale myślami wracam bardzo często do [REDAKTOWANE], miasta moich pionierskich kroków po wojnie. Tak [REDAKTOWANE] jak i [REDAKTOWANE] z dnia na dzień pięknieją, rozrastają się i coraz bardziej zaludniają. W ciągu tych kilku lat pobytu [REDAKTOWANE] w samym tylko osiedlu [REDAKTOWANE], gdzie pracuję, widzę ogromne zmiany. Budynki tu wyrastają jak grzyby po deszczu. Wieżowce i mrówkowce stają się ozdobą dzielnicy [REDAKTOWANE], a kiedy wieczorami rozjarza ciemny błękit nieba tysiącem światełek, mrugających wesoło do przypadkowego przechodnia tworzą niezapomniany, wielkomięjski krajobraz. Bloki mieszkalne szybko otaczają się różnokolorowym dywanem kwiatników i trawników o soczystej zieleni, na której może spocząć zmęczone oko przechodnia. Bo [REDAKTOWANE] kocha kwiaty i nie na darmo właśnie w tym mieście od lat odbywa się coraz piękniejsze "święto [REDAKTOWANE]", chyba najliczniejsze święto w świecie, duma mieszkańców [REDAKTOWANE].

Jak już wspominałam, samotniczy tryb życia prywatnego, jaki prowadzę od wielu lat, nie sprzyja bliższemu styczniu się z sąsiadami w piątym z rzędu miejscu zamieszkania, to też ludzie z sąsiednich domków są dla mnie wielką niewiadomą. Mijam ich obojętnie, tak jai i oni mnie. Natomiast ściślejsze związki łączą mnie z grupą zawodową. Grono koleżanek spotykanych co miesiąc na seminariach szkoleniowych w Dzielnicowej Bibliotece przez kadnych parę lat wytworzyło swoisty monolit spokeczny, o charakterze prawie że rodzinnym. Wszyscy wszyscy o sobie wiedzą, stąd wydarzenia rodzinne jednostek stają się tematem żywych rozmów i ocen całego kolektywu. Oczywiście - jak w rodzinie - jedni przypadają sobie bardziej do gustu albo po prostu

z racji bliskości stanowisk pracy żyją się bardziej ze sobą, inni mniej. Mam tu na myśli zgrupowanie 2-ech filii w jednym lokalu, tu zespół pracowników jednego działu. Tak się skozyło, że moja filia, rozstając się, wyodrębniła oddział dziedziczący, w którym od przeszło pięciu lat pracuje koleżanka [REDAKTOWANE], znana mi jeszcze ze wspólnych czasów uniwersyteckich, kiedy to ja ze [REDAKTOWANE], a ona z [REDAKTOWANE] zjeżdżałyśmy się do [REDAKTOWANE] na sesje uczelniane. Dlaczego o tej koleżance choć coś więcej napisać? Bo choć różnimy się nieco w ogólnym światopoglądzie, to jednak, prócz studiów mamy tyle wspólnych stycznych w poglądach na naszą dzisiejszą rzeczywistość, że rozmowy i zabawy nieraz dyskusje, jakie prowadzimy w wolnych chwilach zawsze kończą się porozumieniem obopólnym w kwestiach zasadniczych.

Koleżanka ta to córka hutnika z Górnego Śląska, ideowego socjalisty z okresu strajków robotniczych i walki z wyzukiem w Polsce międzywojennej. Sama od dziecka karmiona literatura tzw. wówczas "zakazana" w szeregach Czerwonego Harcerstwa, od wielu lat jest aktywnym członkiem Partii. Jej zdrowy, realny stosunek do zagadnień społecznych, z którymi spotykamy się w życiu codziennym - dał mi wiele materiału do przemyśleń i w wyniku ich do zrewidowania swego stanowiska, które było oparte na zupełnej nieświadomości wielu zagadnień. Bo jak już poprzednio wspominałam, ani przed wojną ani podczas okupacji polityką się nie zajmowała. To też jej relacje o ruchu robotniczym w okręgach przemysłowych G. Śląska oparte bądź na osobistej obserwacji, bądź na opowiadaniach ojca i jego towarzyszy były dla mnie nowością, a nawet rewelacją. Rozmowy te oprócz szkolenia w szeregach ZSL-owskich były podstawą do ugruntowania mego uwiadomienia i czynnej postawy w działaniu w obecnej Polsce.

Przecież znam [REDAKTOWANE] ponad 10 lat, a to kawał czasu, by indywidualności nawzajem na siebie oddziaływały. Jej bardzo samo-

działny, a zarazem krytyczny stosunek do zjawisk zachodzących w naszym bliższym i dalszym otoczeniu, jak najbardziej mi odpowiadały i jest dla mnie nad wyraz cenny. Wiele jej zawdzięczam, że "wydorosłałam" duchowo.

Boli mnie tylko to, że tak samo jak i ja nie jest w pełni wykorzystana dla dobra społecznego, że choć jest tak wartościowym człowiekiem ma ograniczone pole działania, zamykające się w jednej małej filii d. i. c. i. e. j.

Nie wiem, jak to jest w polityce kadrowej w naszej kulturze, ale zdaje mi się, że suma doświadczeń plus uniwersyteckie wykształcenie specjalistyczno-fachowe powinno być bardziej racjonalnie wykorzystane i to do maksimum, a nie jak się to dotychczas praktykuje - do minimum. Taki jest mój osobisty pogląd na te sprawy, że człowiek nie uczy się dla samej nauki, ale po to, by lepiej i korzystniej mógł służyć społeczeństwu. Pozostawianie ludzi z wyższym wykształceniem na stanowiskach, na których z powodzeniem mogą pracować ludzie z średnim wykształceniem i fachowym bibliotekarskim przeszkoleniem jest - zdaniem moim - zjawiskiem co najmniej nie pożądanym, które czy prędzej, czy później ujemnie odbije się na pracy kulturalno-oświatowej. To jest najważniejszy problem, który chciałabym zmienić, gdyby to było w mojej mocy. Ale cóż, są to tylko myśli w sferze marzeń, a rzeczywistość mówi co innego!